

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. | Kraków, 13 maja 1916. | Nr. 20.

Trzeci Maja w Warszawie.



Milicya miejska i delegacye Stowarzyszeń w pochodzie na Krakowskiem Przedmieściu.

Treść numeru: W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego. — Wielkanoc na froncie Legionów. — O istonięcie tarczy wojennej w Łańcucie. — Zgon polskiego uczonego i t. d.

Trzeci Maja w Warszawie.

Warszawa dała znowu dowód niezwykłego zapału, patryotyzmu i sprawności organizacyjnej. Pomimo ciężkiego kryzysu ekonomicznego, jaki przechodzi w tym okresie wojennym stolica Polski — urządzony tam obchód Konstytucyi 3 Maja przeszedł swym ogromem, ładem i karnością, przy niesłychanym entuzyazmie mas ludowych — najśmielsze oczekiwania. Była to manifestacya tak potężna, że musiała zaimponować nie skłonnym bynajmniej do zachwytów obecnym władcom Warszawy... Ze zdumieniem podziwiali oni tę siłę żywotną stolicy Polski, tę moc duchową narodu, która szeregowała jako jedną zorganizowaną, karną armię — krocie ludu warszawskiego pod znakiem Białego Orła...

Ranek 3 Maja zastał miasto już wspaniale udekorowane. Flagi o barwach narodowych, festony i sztandary powiewały z domów na wszystkich ulicach. Z wielu okien i balkonów zwieszały się kosztowne makaty, dywany, obok skromnych płóciennych dekoracyi.

Ogród botaniczny tonął w zieleni cudnego majowego poranku. O godzinie ósmej rano na miejscu, gdzie przed 125 laty prymas wobec króla święcił kamień węgielny pod kościół Opatrzności, zebrali się członkowie Senatu uniwersytetu z kuratorem hr. Hutten-Czapskim, rektor i profesorowie politechniki, prezydent Warszawy książę Lubomirski, przedstawiciele instytucyi społecznych oraz młodzież wyższych zakładów ze sztandarami, aby uczcić drogie sercu polskiemu ruiny.



Trzeci Maja w Warszawie; Słuchacze kursów agronomicznych, byli wychowańcy byłej Szkoły Głównej i słuchacze Uniwersytetu w pochodzie przed kościołem św. Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu.

Przed ołtarzem, ustawionym na wzniesieniu, okalającem ruiny, ksiądz kanonik Szlagowski odprawił cichą Mszę św. Obok ołtarza powiewał sztandar uniwersytecki dawnego uniwersytetu królewskiego

z roku 1816 w otoczeniu senatu. Po Mszy rektor dr. Brudziński odsłonił tablicę, wmurowaną we wnętrzu ruin, poczem ks. Szlagowski ją poświęcił — wygłosiwszy przytem podniosłe przemówienie.

Napis na tablicy brzmi: „Pamiątka Konstytucyi 3 Maja 1791 w 125 rocznicę. Odrodzony uniwersytet warszawski M. C. M. XVI.“

Równocześnie w innych kościołach i świątyniach odbyły się nabożeństwa z kazaniami.

Formowanie pochodu, który zgromadził cwierć miliona ludzi, rozpoczęło się o godzinie $9^1/_2$ rano.

Pochód zasadniczo podzielono na trzy wielkie grupy: 1) młodzież szkolna, 2) organizacye naukowe, społeczne, polityczne, dobroczynne i inne, 3) publiczność. Na czele ustawiono patrol „straży pochodowej“ dla czuwania nad porządkiem.





(Fot. Chodorowski C. B. W. N. K. N.) **Wielkanoc na froncie Legionów:** Czwartacy na nabożeństwie. (Fot. Mucha C. B. W. N. K. N.)

Przemawiał z kolei rektor dr. Brudziński, poczem nastąpiło zasadzenie dębu pamiątkowego obok ruin, jako symbolu wolności i odrodzenia Polski, o czem marzyli twórcy Konstytucyi 3 Maja. — Podczas ceremonii tłumy odśpiewały „Boże coś Polskę“.

Następnie udali się uczestnicy do katedry św. Jana na uroczyste nabożeństwo.

O godzinie dziewiątej rano katedrę wypełnili członkowie Kapituły, przedstawiciele Rady głównej, Zarządu miasta, Komitetu obywatelskiego i Komitetu obchodowego 3 Maja, członkowie Zarządu „Macierzy szkolnej“ i najwybitniejsi obywatele.

Nabożeństwo odprawił arcybiskup Kakowski. Podczas Mszy soliści opery wykonali „Veni creator“. Uroczyste kazanie wygłosił ks. prof. Nowakowski. Mowa jego, pełna głębokiej, patryotycznej treści, wywołała łzy w oczach wielu słuchaczów.

Za patrolem postępowała orkiestra, która w chwili wyruszenia pochodu zaintonowała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Obnażyły się wszystkie głowy i pochód zaczął się posuwać. Za orkiestrą powiewał pierwszy sztandar biało amarantowy z wyhaftowanym białym orłem, niesiony przez pluton honorowy.

Najpierw szły szkoły miejskie, dalej szkoły średnie i wyższe, senat i studenci politechniki z pięknym sztandarem z błękitnego jedwabiu z wyhaftowanym złotym orłem polskim.

Za politechniką, witani oklaskami przez całą linię pochodu, szli wychowańcy byłej Szkoły Głównej w liczbie 27. Uniwersytet warszawski niósł sztandar z roku 1815 z napisem na błękitnym jedwabiu „Uniwersytet królewski“ z jednej strony, z drugiej zaś wizerunek św. Jana Kantego. Pochód grupy szkolnej liczył 35.000 uczestników.

Część drugą pochodu otwierało duchowieństwo. Organizacye postępowały w następującym porządku: 1) Towarzystwa naukowe, 2) Instytucye obywatelskie, 3) Stronnictwa polityczne, 4) Prasa, 5) Teatr, 6) Cechy, 7) Stowarzyszenia kobiece, 8) Instytucye dobroczynne, 9) Orkiestra, 10) Towarzystwa sportowe, 11) Zrzeszenia zawodowe i społeczne, 12) Skauci, junacy, wolni strzelcy, beliniacy, 13) Straż ogniowa, 14) Publiczność.

Łącznie z publicznością, która w czasie posuwania się pochodu łączyła się z nim, obliczono ilość biorących udział w pochodzie na 300 tysięcy osób. Pochód trwał pięć godzin, a porządku i karności nie zakłócono w niczem.

Gdy pierwsza część pochodu złożona z młodzieży mijała Bagatelę, na młodzież posypał się deszcz kwiatów, który spadał blizko przez godzinę.

W dalszym ciągu uroczystości o godzinie piątej po południu odbyły się w dziewięćdziesięciu sześciu lokalach Warszawy zgromadzenia, na których wygłoszono odczyty o Konstytucyi z roku 1791. Najuroczyściej wypadło zgromadzenie w sali Filharmonii, na którem poseł do Dumy Łempicki i prałat



W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego. Uroczystość 2 maja w Gorlicach. I. Msza polowa celebrowana przez ks. Sosa. II. Kazanie ks. Swieykowskiego. III. Tłumy zgromadzone na mszy polowej. (Fot. Kumorowicz).



Wielkanoc na froncie Legionów: Kiełbasa na słupie podczas festynu Czwartaków.
(Fot. Mucha C. B. W. N. K N)

Chełmicki wygłosili przemowy. Wieczorem odbyły się we wszystkich teatrach Warszawy uroczyste przedstawienia.

Wkońcu należy jeszcze zaznaczyć, że Komitet obchodu uroczystości Trzeciego Maja w Warszawie zwrócił się do przebywających na urlopie, lub w przejeździe Legionistów, by zechcieli wziąć udział w uroczystościach obchodowych. W tym celu rozesłano wszystkim oficerom, podoficerom i żołnierzom legionowym karty wstępu na uroczyste nabożeństwo w katedrze św. Jana oraz ułatwiono im wstęp na wszelkie uroczystości w dniu Trzeciego Maja.

O godzinie dziewiątej rano, kiedy Legioniści



Wielkanoc na froncie Legionów: Wchodzenie na słup podczas festynu Czwartaków.
(Fot. Mucha. C. B W. N. K. N.)

przybyli do katedry, zwrócili się do nich delegaci Komitetu obchodowego z prośbą, a nawet żądaniem, by *in corpore* stanęli wśród innych delegacyi przed wielkim ołtarzem. Po skończonem nabożeństwie zaproponowano Legionistom wzięcie udziału w samym pochodzie. Jednak ze względów wojskowych temu odmówiono. Wtedy wyznaczono dla Legionistów miejsce obserwacyjne około pomnika Mickiewicza.

Kiedy Legioniści grupami przechodzili z kościoła św. Jana poprzez ustawiające się grupy pochodowe do pomnika Mickiewicza, wznoszono na ich cześć frenetyczne okrzyki i oklaski. Gdy pochód ruszył, wszystkie grupy przechodzące około Legionistów pochylały przed nimi sztandary i wznosiły na ich cześć okrzyki: „Niech żyją Legiony“, „Cześć Legionistom!“

Legioniści podczas przejścia grupy powstańców 63 roku stanęli w postawie „na baczność“ i oddali honory wojskowe, na co powstańcy odpowiedzieli okrzykiem na cześć Legionów.

Tak się przedstawiała w krótkim pobieżnym opisie ta wielka manifestacya, jaką uczciła stolica Polski 125 tą rocznicę Konstytucyi Trzeciego Maja.

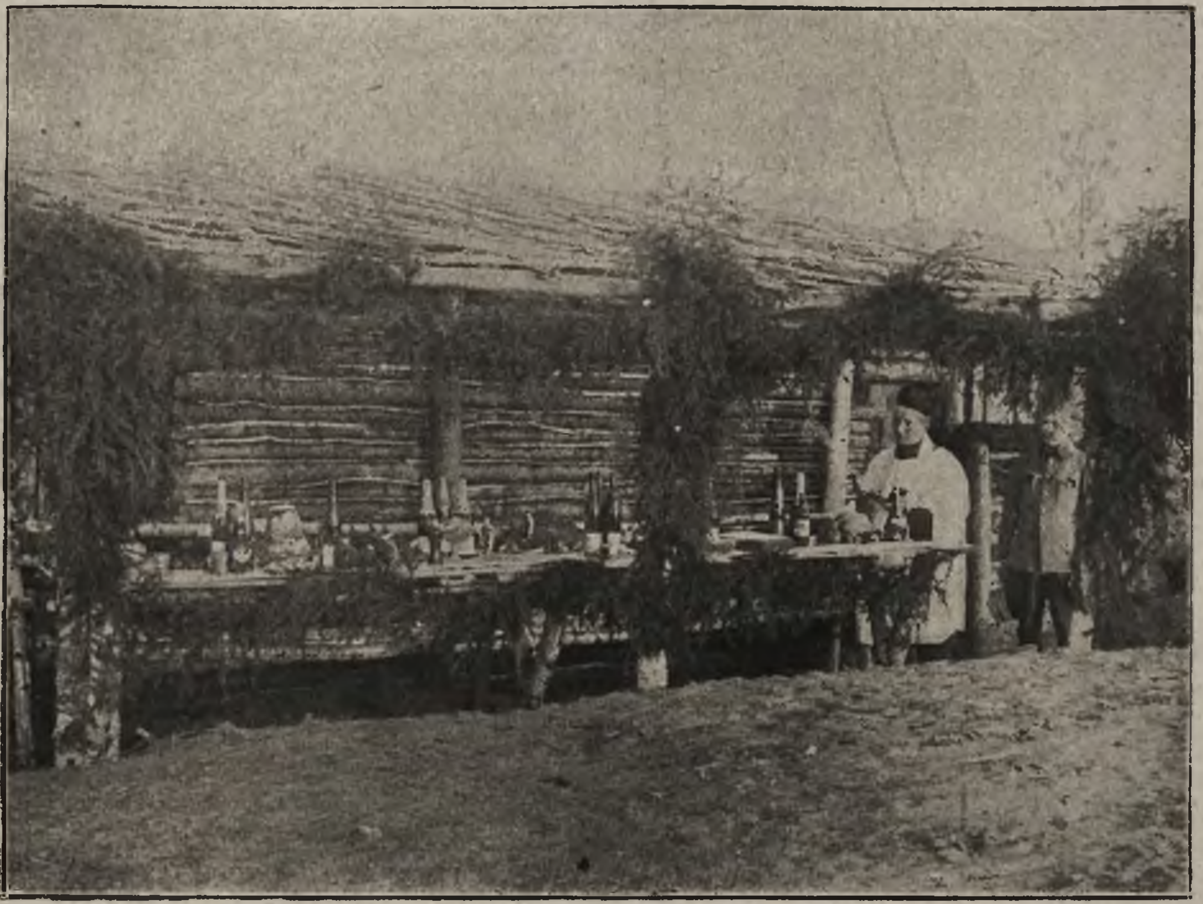
Zanim w późniejszym numerze damy pełny obraz fotograficzny tych wspaniałych uroczystości, dziś zamieszczamy dwa zdjęcia z pochodu.

Wielkanoc na froncie Legionów.

Na wojnie, jak i w życiu, tylko bardziej jaskrawo, występują wszystkie przejawy duszy ludzkiej: tragedya śmierci i smutek, ale także chwile radości i beztroskliwego wesela... Wymownym tego dowodem są fotografie, przedstawiające epizody ze świąt Wielkanocnych w czwartym pułku Legionów. Widzimy tam uroczyste modły przy grobie Zbawiciela, wykonanym przez Czwartaków i wesołą zabawę na wielkanocnym festynie... A dzieje się to wszystko na froncie, w obliczu nieprzyjaciela — gdy grzmią armaty i leje się krew...



Wielkanoc na froncie Legionów: Grób Chrystusa w kaplicy wybudowanej przez Czwartaków.
(Fot. Mucha C. B. W. N. K. N.)



Wielkanoc na froncie Legionów: Święcone Czwartaków. (Fot. Chodorowski. C. B. W. N. K. N.)

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

6

Hanka wzruszyła ramionami. Widziała, że siostry nie przekona, rozumiała zresztą jej uczucia, nie chciała więc drażnić jej bezcelową opozycyą.

— Moja droga Stasiu, jakkolwiek to jest, my musimy spełnić to, czego podjęłyśmy się! Proszę cię Stasiu, włóż prędko żakiet i chodźmy. Pan Montwiłł jest już w „kuchni" z pewnością.

Ostatnie słowa Hanki podziałały na Stasię. Szybko włożyła żakiet, zawiązała woalkę i rzekła do siostry:

— Jestem gotowa! Spieszmy, bo rzeczywiście możemy się spóźnić!

W drodze obiecywała sobie Stasia, że zmierzy Montwiłła pogardliwem, zimnem spojrzeniem i nie przemówi do niego ani słowa.

Postanowienia te pierzchły jednak tak, jakby nigdy nie istniały, kiedy zobaczyła płową głowę młodzieńca, pochyloną nad kwitkami przy kasie.

Montwiłł ukłonił się z uprzejmym uśmiechem wchodzącym pannom.

Stasia oczekiwała jakiegoś słowa przeproszenia czy wytłumaczenia za sprawiony zawód, ale młodzieniec nie powiedział nic.

Nie miał zresztą czasu. Kasa była formalnie oblężona. Goście kuchni tłoczyli się, cisnęli do kasy, wołając jeden przez drugiego:

— Proszę pana, dla mnie herbatę czystą!

— Proszę o herbatę z mlekiem!

— Trzy chleby po cztery halerze z marmoladą!

— Dwa chleby ze serem!

— Dla mnie za dwa halerze chleb suchy — zamawiający westchnął. Brakowało mu widocznie dwóch halerzy, aby zjeść bardziej luksusowy podwieczorek.

— Dla mnie proszę „würstle" z musztardą, herbatę z mlekiem i trzy chleby z marmoladą! — zadzwonił tryumfalnie głos pucołowatego chłopca w mundurku gimnazyalnym.

Gimnazyalista obrócił się do kolegi i tłumaczył mu:

— Przysłała mi matka trzydzieści koron, więc sprawiam sobie dzisiaj bal! Chcesz, to i tobie fundnę parę „würstli". Pycha, że w naszej kuchni to za „szubę" można się najeść.

— Ano płać, kiedyś kapitalista! Może sobie także „kolaję" wsuniemy, co?

— Dobrze! Tylko muszę się wprzód dowiedzieć, co będzie dzisiaj na kolacyę, czy czasem nie brr! mamałyga... Tej siwej pani i tamtej czarnej panny, co się tak ostro patrzy, nie śmiałem się pytać, ale teraz przyszła panna Stasia, wiesz ta taka ładna, wesoła... Zapytam się jej, ona mi powie...

Do ucha Montwiłła nachylił się młodzieniec w mocno podszarzałej kurtce:

— Kolego, a możeby tak bezpłatną?... — szepnął cicho — Psiakrew, nie chciałoby się korzystać z tej dobroczynności, ale co robić... Grosza nie mam przy duszy, a żołądek piszczy...

Montwiłł szybko skinął głową i wypełnił odpowiednią kartkę w bloczku...

Blady młodzieniec w wyszarzanej kurtce wziął kartkę i zgniótł ją w dłoni, jakgdyby z gniewem. Ciężko mu snać było korzystać z bezpłatnego podwieczorku, przeznaczonego dla najbiedniejszych.

Wolnym krokiem skierował się do stołu, gdzie huczała wesołym płomieniem gazowa kuchenka.

Uprzedził go pucołowaty gimnazyalista i przecisnął się do Stasi, która zgrabniutka i fertyczna, w białym fartuszku ze szelkami, krzątała się koło stołu, odbierając od swojej poprzedniczki doktorowej Winnickiej chleb, cukier, marmoladę i inne wiktuały podwieczorkowe.

Pani Winnicka, starsza już kobieta, miała głowę mocno przyprószoną siwizną... Regularne, jakby wyrzeźbione rysy świadczyły, że musiała być niegdyś bardzo piękna. A i teraz twarz jej ujmowała wdziękiem, a wyblakłe już nieco błękitne oczy spoglądały na ludzi tak jakoś dobrze i rozumnie, że zdawały się mówić, wszystko zrozumieć, to znaczy wszystko przebaczyć.

Gimnazyalista wręczył swoje kartki Stasi.

— Ho! ho! Aż tyle i czegoż to pan Adaś sobie życzy? — zapytała Stasia z przyjaznym uśmiechem chłopca.

— Dwie „parki", proszę pani, dwie herbaty z mlekiem i cztery chleby z marmoladą... Tylko niech pani da grubo marmolady, dobrze? Bo ta panna Jancia — tu Adaś zniżył głos i rzucił zukosa spojrzenie ku wysokiej, chudej pannie, nazwanej przez niego poprzednio „czarną panną" — to strasznie cienko smaruje i takie kromki kraje, że Kraków można przez nie zobaczyć.

Stasia roześmiała się z tej skargi.

— Pan Adaś, jak widzę, chciałby dostać protekcyjną porcyę! Nic z tego nie będzie. Ja posmaruję jeszcze cieniej, niż panna Janka.

— Już ja w to nie wierzę! Pani jest dobra! — oświadczył z przekonaniem Adaś — I pani mi powie, co będzie dzisiaj na kolacyę, bo jabym chciał sobie kupić kartkę, ale się boję, że będzie mamałyga...

— Dobrze, dowiem się zaraz...

Stasia pobiegła do kuchni i powróciła za chwilę z doniesieniem, że na kolacyę przygotowane są pierogi ruskie ze serem.

— Pierogi! Pyszności! Słyszysz Jurek! Wsuwamy po dwie porcye! Jak bal to bal! Dziękuję pani, panno Stasiu, bardzo dziękuję...

Do lokalu „taniej kuchni" weszła w tej chwili majestatycznym krokiem wysoka dama, w której na pierwszy rzut oka można było domyślić się jakiejś naczelnikowej czy radczyni z głębekiej prowincyi.

Niezwykłej wielkości pióro powiewało tryumfalnie na kapeluszu tej damy... Oczy mrużyła co chwila i przykładała do nich tak zwaną „impertynentkę" osadzoną na rączce udającej szyldkret...

Naczelnikowa czy radczyni podniosła natychmiast do oczu swoje „lorgnon" i krytycznem spojrzeniem obrzuciła salę, na której wrzał w całej pełni ruch podwieczorkowy i rozbrzmiewał gwar wesołych głosów.

Dama zbliżyła się do doktorowej Winnickiej.

— Proszę pani, przyszłam powiedzieć, że moje panienki więcej już na dyżur nie przyjdą...

— Tak? a dlaczego?... — zdziwiła się pani Winnicka — Panna Tosia i panna Mania tak chętnie i zręcznie pomagały nam w naszej wspólnej pracy... Czy nie mają obecnie czasu?

— No, czasu im nie brakuje... Właściwie to nawet nie wiedzą dziewczęta, co z tym czasem zrobić...

— A zatem?...

— Doszłam do przekonania, że to niewłaściwe dla nich zajęcie...

— Tak uważa pani naczelnikowa? A dlaczegoż to, jeżeli mogę zapytać?

— Widzi pani, jabym, broń Panie Boże, nie chciała obrazić drogiej pani doktorowej, ale znajomy nasz pan nadradca Spiączka zwrócił mi uwagę, że „tania kuchnia" nie jest odpowiednim lokalem dla młodych, dobrze wychowanych panienek...

— A czemże motywował pan nadradca swoją niepochlebną opinię o naszej „kuchni"?

— Niech się kochana pani nie obraża tem, co powiem... On mówił, że tutaj przychodzi sama... no sama hołota, a panienki odgrywają rolę kelnerek...

Pani Winnicka uśmiechnęła się z lekka. Jej przedziwnie dobre, rozumne, łagodne oczy z jakimś smutkiem spojrzały przed siebie.

— To źle, to bardzo źle i bardzo smutnie, że teraz w tym czasie są ludzie u nas, którzy tak mówią, a co gorsza tak myślą...

— Ależ, proszę pani doktorowej, pan nadradca Spiączka, to człowiek bardzo rozumny, poważny, on wie przecież, co mówi...

— Być może, nie przeczę, ale niech pani spojrzy na salę...

Pani Winnicka wskazała ręką przed siebie na długą salę „taniej kuchni", mroczną nieco w dzień, a teraz oświetloną już jasno z powodu wczesnego zimowego wieczoru gazowemi lampami.

Na sali było rojno i gwarno... Nastrój był swobodny, pozbawiony sztywności, jakby rodzinny. Znać było, że ci ludzie, zajapijący ze smakiem tanią herbatę i zajadający suche czy smarowane kromki chleba czują się tutaj „u siebie".

Nikt się nie wstydził podniszczonego ubrania, niemodnego kapelusza, skromnej bluzki, starej sukienki. Kilku chłopców w mundurkach gimnazyalnych przyniosło ze sobą mandoliny i stroiło je teraz, przygotowując się do odegrania serenady.

Przy długim środkowym stole, założonym dziennikami i pismami illustrowanemi, siedzieli goście zatopieni w czytaniu.

Przy innym stole jacyś zapaleni szachiści rozgrywali partyę szachów, wokół nich skupiła się gromadka młodych chłopców, śledzących z natężoną uwagą przebieg gry.

Gdzieindziej znowu kilka osób gwarzyło z cicha o czemś, a twarze poważne, stroskane wskazywały, że przedmiot rozmowy nie był zbyt wesoły.

Jakaś młoda matka trzymała na kolanach kilkoletnie dziecko, pojąc je herbatą zaprawioną mlekiem i karmiąc chlebem z marmoladą.

Maleństwo śmiało się głośno, chlipało herbatę, zlizywało słodką marmoladę z kromki, mazało sobie nią paluszki i cienkim donośnym głosikiem dzwoniło, jak srebrny dzwoneczek.

— Daj! daj! mama! doble! doble! papu!

Pani Winnicka chwilę patrzyła na ten barwny, ruchliwy obraz i uśmiechnęła się z jakiemś wewnętrznem zadowoleniem.

— Nie wiem, kogo pan nadradca Spiączka nazywa hołotą... Określenie to w każdym razie ślizkie i ryzykowne... Niech pani popatrzy... Widzi pani tutaj chłopców w mundurkach gimnazyalnych, młodzież akademicką, sporo inteligencyi, którą wojna wytrąciła z warunków normalnych, żołnierzy rannych, którzy leczą się w tutejszych szpitalach, rzemieślników, nauczycieli, nauczycielki... O! Proszę popatrzeć tam pod oknem siedzi kobieta wiejska w barwnym stroju krakowskim... Słowem jakby naród w miniaturze, złączony tutaj na wychodźtwie w jedną rodzinę... Brakuje tylko bardzo bogatych, no, ale dla tych nie stwarzaliśmy naszej „kuchni"... Trudno, tania kuchnia nie jest dla milionerów... A nasze panie i panienki uwijają się wśród tych, tak nam miłych gości, usługują im z własnej chęci, z poczucia obowiązku... To nie jest łaska, to nie jałmużna, to obowiązek... Pani naczelnikowa przestraszyła się nazwy kelnerek, więc proszę patrzeć i sądzić... Przed chwilą usługiwałam ja z córką profesora uniwersytetu, teraz krzątają się dwie nauczycielki, później przyjdą inne znowu młode panny, równie chętne do tej wspólnej pracy... Zadna z nas nie boi się nazwy kelnerki... Same uprzątamy wszystko, same myjemy szklanki, no i przyznam się pani naczelnikowej, że nie uważam, aby to którejkolwiek z nas miało ubliżać... Aż miło patrzeć, jak doktorowa Koryczkowa, która ma w domu u siebie dwie służące i gospodynię, szoruje tutaj stół, myje szklanki i robi to wszystko z zapałem i gorliwością... Proszę, niech pani patrzy. Czy tutaj dzieje się coś nieprzyzwoitego, lub złego?...

Pani naczelnikowa była trochę zmieszana.

Pani Winnicka mówiła spokojnie, łagodnie, ale ton jej głosu był tak przekonywujący, rozumowania tak jasne i logiczne, że naczelnikowa musiała uczuć pewne zawstydzenie...

Żałowała teraz w głębi ducha, że posłuchała nadradcy...

— Tak, pani doktorowa powiedziała to bardzo pięknie... Obowiązek... Wspólna praca... Ja to przecież rozumiem... Takie wyjątkowe czasy... Jabym przecierz chciała także, żeby moje dziewczynki... No! To niechże sobie chodzą dalej... Przecież pod opieką pani doktorowej... Powiem nadradcy, że się omylił... Namówię go, aby przyszedł, bo on jeszcze nigdy tutaj nie był...

— Otóż to właśnie!

Naczelnikowa nachyliła się do pani Winnickiej i szepnęła tajemniczo:

— Tylko, podobno tutaj panienki flirtują z akademikami.

Pani Winnicka uśmiechnęła się znowu.

— Czy pani chodzi z córkami pod „Łabędzia"?

— Ależ naturalnie, przynajmniej dwa razy na tydzień!

— A czy tam niema flirtu?

Naczelnikowa zastanowiła się.

— Ależ jest! Jest naturalnie i to okropny, bezwstydny poprostu... Aż uszy nieraz więdną od słuchania, oczy bolą od patrzenia...

— A widzi pani, a pani prowadzi tam swoje córki... Nie twierdzę bynajmniej, że tutaj nikt nie flirtuje... Nie rozumiem bowiem dlaczegoby ta młodzież, która się w naszej „kuchni" zbiera, miała być wyjętą z pod ogólnych praw młodości i życia... Jeżeli która panna flirtować nie chce, to nikt jej z pewnością nie zmusi...

— Tak, ale czy to która nie chce? — westchnęła naczelnikowa.

— W takim razie znajdzie sobie i gdzieindziej sposobność.

Naczelnikowa opuściła „kuchnię" przekonana.

Hanka Staszyńska krajała starannie kromki chleba, smarowała je, a Stasia lawirowała po sali, roznosząc herbatę i przekąski.

Starała się przytem zawsze przejść jak najbliżej kasy, aby zwrócić na siebie uwagę Montwiłła.

Daremnie jednak. Młodzieniec zdawał się być zupełnie zatopiony w swoich rachunkach i nie zwracał uwagi na śliczne zjawisko, które go musnęło kilka razy w przechodzie końcem swojego białego fartuszka.

Gniew Stasi, który opadł na widok Montwiłła, budził się znowu.

— Dlaczego on na mnie nie patrzy? Dlaczego nie mówi nic?

Zapragnęła mu zrobić coś na złość, dokuczyć czemś, ale nie wiedziała czem. Przyszła jej do głowy dziecinna myśl, żeby go niby niechcący oblać go-

rącą herbatą i w ten sposób zmusić, aby się na nią popatrzył i żeby przemówił.

Zaniedbała jednakże tego planu i zawstydziła się go sama przed sobą.

— Nie! To byłoby zbyt trywialne, zanadto głupie!

Stasia zauważyła, że Montwiłł co chwila wyjmuje zegarek i spogląda nań z niecierpliwością.

— Czy spieszy się gdzie?

Inżynier Mieduniewicz, który miał objąć dyżur po Montwille, zbliżył się do jego stolika.

— Więc to już ułożone! — rzekł — Pan mnie zastąpi w dyżurze podczas kolacyi? Będę bardzo wdzięczny, bo chcę iść do teatru.

— Ależ najchętniej zastąpię pana, mam czasu dosyć.

Taca zadrżała tak silnie w rękach Stasi, że omal nie upuściła jej na ziemię. Miała nadzieję, że Montwiłł po dyżurze odprowadzi ją do domu, tak, jak to dawniej bywało — a on zostaje.

Nie spieszy mu się więc nigdzie, dlaczego zatem spogląda ciągle na zegarek?

Tknięta jakiemś przeczuciem, podbiegła do zawieszonego na ścianie rozkładu dyżurów i spojrzała: Godzina 6 – 8 P. Żurakowska.

— Więc to tak! No, tak, naturalnie!

Stasia stała jak ogłuszona wpatrując się w drobne, czarne literki, które tworzyły nazwisko: „Zurakowska“.

Zacinała zęby, żeby nie krzyczeć, całą siłą woli wstrzymywała się od płaczu.

Fala nienawiści ku Anielce, fala gryzącej, szalonej, bezrozumnej zazdrości zalała jej duszę.

— Ach! Ta kokietka! Umówiła się z nim napewno!

— Stasiu! Dlaczego stoisz bezczynnie? — zabrzmiał głos Hanki — Zanieś te trzy herbaty.

Stasia oprzytomniała.

— Głowa mnie rozbolała! — wyrzekła jakimś nieswoim, zmienionym głosem — Muszę iść do domu!

— Ależ, Stasiu, tyle roboty! Któż cię zastąpi?

— Wszystko mi jedno, niech mnie zastąpi ktokolwiek, jestem chora.

— Przed chwilą przecież byłaś zupełnie zdrowa?

— Ach! Nie dokuczaj mi!

Hanka, zdumiona i zaniepokojona, patrzała na pobladłą, drgającą nerwowo twarz siostry. Przeczuwała, że powodem tego nagłego bolu głowy był Montwiłł i gubiła się w domysłach i przypuszczeniach. Zdaje się, że nie zamienili ze sobą ani słowa, więc co się stało?!

Nie było jednak czasu na długie refleksye, bo w sali było już nie tylko rojno, ale wprost ciasno.

— Proszę pani, dla mnie herbatę z cytryną!

— Proszę dwa chleby!

— Proszę trzy „parki“!

Hanka rozejrzała się po sali, szukając wzrokiem kogoś, ktoby jej dopomógł, bo Stasia wkładała już kapelusz.

W tej chwili do „kuchni“ weszła, a raczej wbiegła młodziutka panienka, zdyszana od szybkiego biegu i zaróżowiona od mrozu.

Miała okrągłą twarzyczkę przymilnej młodej koteczki i skromną minkę, której przeczyły figlarne ogniki w oczach.

Mogła mieć najwyżej lat szesnaście, ale miała purpurowe usta dojrzałej kobiety i rozwiniętą nad wiek kibić.

— Oho! Przyszła panna Józia! „Dziewczę z buzią jak malina“ — zanucił z cicha jeden ze starszych gimnazyalistów.

Kilka par oczu młodzieńczych pobiegło ku przybyłej panience. Ona widziała to i uśmiechnęła się, odsłaniając z za purpurowych warg drobne, białe i ostre, jak u drapieżnego zwierzątka, zęby.

Wzrokiem szukała kogoś po sali, ale nie znalazła, bo wyraz lekkiego niezadowolenia przemknął po jej twarzy.

— No! Jeżeli jest panna Józia, to i Żarnicki wyrośnie tu zaraz. Bardzo dobrze, bo mam interes do niego, a nie mogłem go dzisiaj nigdzie złapać! — odezwał się jeden z młodych ludzi, zgromadzonych koło stołu.

— Cóż to znowu za kombinacya?

— A to takie wzajemne przyciąganie.

— Hm! Ta Józia, to zdaje mi się, jeszcze innych przyciąga...

— Iii! Koza! Smarkata!...

— Ale ma dyablika w oczach! Powiadam ci, że to szampańskie dziewczę!

— A może, co mi do tego! Nie mam zamiaru wchodzić Zarnickiemu w drogę.

— A cóż to Zarnicki ma monopol na wszystkie ładne dziewczęta, czy co? Czy to on pierwszą bałamuci? To przecież znany łagodny „Don Zuan“, jak go nazywa Mieduniewicz. Ciekawym, co te kobiety w nim widzą, że tak lecą na niego?

— Czy ja wiem, co tam w nim widzą! Nie zazdroszczę mu wcale tych jego sukcesów! Jak mu się chce tracić tyle czasu i energii na zawracanie babom głowy, to niechże sobie traci. Mógłby już od dwóch lat mieć egzamin, gdyby nie te flirty i romanse.

Ale drugi rozmawiający interesował się bardzo panną Józią i pytał dalej:

— Czy ta mała, to ona jest tutaj bez rodziców lub jakichś starszych opiekunów?

— Podobno jest tylko z młodszą siostrzyczką i służącą... Ojciec musiał pozostać w Galicyi, a córki wysłał dla bezpieczeństwa...

— Tak... hm... No to Żarnickiemu w to graj!... Powiadam ci, że ona jest ładna!

— A dajże spokój, nie szukaj niepotrzebnie awantury! Zarnicki jest zazdrosny o każdorazową miłość, jak Otello!

Hanka Staszyńska, zobaczywszy panienkę, rzuciła się ku niej, jak ku zbawieniu.

— Panno Józiu! Pani mi pomoże w wydawaniu podwieczorków, dobrze?

— Ależ naturalnie, proszę pani... Ja przecież po to przyszłam... Miałam takie przeczucie, że będę potrzebną, że się przydam... Ja tylko po to przyszłam! — zapewniała tak gorąco, jakby się obawiała, że ją ktoś posądzi o inny cel odwiedzin „kuchni“ — Już jestem na usługi, tylko włożę fartuszek!

Na progu sali stanął młodzieniec z twarzą bardzo szczupłą, o szarej, jakby chorobliwej cerze. Ukłonił się paniom i podłużne, piwne jego źrenice spotkały się z filuternemi, jasnemi oczkami Józi. Pomiędzy dwojgiem tych młodych przeleciała istna błyskawica spojrzeń. Trwało to krótką chwilkę.

Józia natychmiast odwróciła się w inną stronę i zrobiła tak obojętną minę, jak gdyby przybyły młodzieniec zupełnie ją nie zajmował.

— Konradzie! Żarnicki, a chodźcie no tu! — zawołał ten młody człowiek, który poprzednio zdradzał tak wielkie zainteresowanie Józią.

— Servus Wicherek!

Żarnicki podszedł zwolna ku kolegom.

Nie był przystojny, przeciwnie, możnaby go było nazwać nawet brzydkim, gdyby nie piękne piwne oczy o jakiemś nieokreślonem, magnetyzującem wprost spojrzeniu i niezwykle miły uśmiech.

— Słuchajcie, Zarnicki, dowiadywaliście się, czy tam będzie można dostać jaką zapomogę w formie pożyczki bezterminowej w tym „komitecie pomocy“? Wstyd już doprawdy obnosić człowiekowi swoje podarte buty pomiędzy tymi wypasionymi elegantami czeskimi w cylindrach...

— Trudno będzie... Oni mało mają pieniędzy, a zgłaszających się po zapomogę jest mnóstwo... Trzebaby chyba obrobić prezesa, albo jeszcze lepiej, jak mi mówiono, udać się do jego żony, to możeby się coś znalazło...

Wicherek z irytacyą przegarnął ręką czarną, powichrzoną czuprynę.

— A niech to jasne pioruny zatrzasną! Tego już zanadto! Dość mam tej żebraniny i zbijania bruków praskich... Trzeba się wziąć do roboty, do jakiejkolwiek roboty!

— Tak, tylko gdzie znaleźć robotę? — zapytał trzeci towarzysz. — Tutejsi nie dopuszczą nas do niczego, a o te kilkadziesiąt marnie płatnych lekcyi polskich dobijają się dziesiątki, jeżeli nie setki potrzebujących... Szczególnie Królewiacy, bo ci nawet tych siedmdziesięciu halerzy dziennie nie pobierają...

— Tak, rzeczywiście, nie można znaleźć pracy odpowiedniej dla intelligenta, akademika, człowieka wykształconego i tam dalej, ale trzeba zatem wziąć się do czego innego.

— Do czego, naprzykład?

— Jutro zgłaszam się na kolej o robotę...

— Nie dostaniesz posady.

— Posady urzędnika prawdopodobnie nie, ale na prostego robotnika mnie przyjmą!

— Każą wam nosić worki, lub wozić wózki z towarami — zauważył Żarnicki.

— No, to będę! Wolę to, jak zadzierać nos do góry i wyglądać, czy mi manna z nieba nie spadnie...

— Nie podołacie...

— Co? Ja nie podołam?! — zawołał Wicherek, podając dumnie pierś naprzód. — Pewnie, że wam nie polecałbym tego, bo macie słabe zdrowie i jesteście, szczerze mówiąc, cherlak, ale ja mam niespożyte siły! Ja jestem, proszę was, syn chłopski, nieraz pomagałem ojcu w polu i praca fizyczna mnie nie przeraża!

— Pewnie, pewnie, że tak lepiej. Ja sam, gdybym był zdrowszy i silniejszy...

— I... po co wam to?... Macie krewnych, możecie od nich czerpać... Zresztą jesteście ulubieńcem rozmaitych pań, które się o wasze zdróweczko troszczą — zaśmiał się Wicherek trochę uszczypliwie, ale widząc, że Żarnicki robi obrażoną minę, dodał pospiesznie:

— Nie macie się o co obrażać, wiecie, że was lubię, boście sympatyczny chłop... A że tam jesteście trochę papinek i rozpieszczony mamin synek, to już nie wasza wina... Takim was urobiło życie, nie zaznaliście twardej biedy i gonitwy za suchym kawałkiem codziennego chleba....

— Pewnie, pewnie... — odpowiedział z widocznem roztargnieniem Zarnicki.

Myśl jego odrywała się od tematu rozmowy, a oczy krążyły po sali i ścigały Józię, która krzątała się koło stołów, roznosząc herbatę i zabierając niepotrzebne już szklanki.

Pomagał jej w tem zgrabny, wysoki, nie wiele starszy od niej chłopak z twarzą zdrową, różową, wesołą.

Józia wydawała mu jakieś rozkazy, pokazując w uśmiechu wszystkie ząbki, a chłopiec spełniał je posłusznie i skwapliwie, bardzo snać zadowolony z roli, jaką odgrywał.

— A teraz ja będę myła szklanki, a pan je będzie wycierał — zadecydowała Józia tak głośno, że te jej słowa dobiegły do uszu Żarnickiego i jego towarzyszów.

— Dobrze, proszę pani.

Stalowe błyski gniewu mignęły w oczach Żarnickiego, brzydka zmarszczka przecięła mu czoło.

Wicherek spostrzegł to i uśmiechnął się znowu.

— „Das ewig Weibliche zieht uns hinan“, prawda kolego? Nowa „flama“?

— Czy wy przypadkiem, Wicherek, według siebie nie sądzicie? — odciął się Zarnicki.

— A choćby... choćby... kto wie, jeżeli będę miał czas i ochotę, to popróbuję współzawodniczyć z wami.

Wicherek chciał mówić coś więcej jeszcze, ale urwał nagle, jakby porażony spojrzeniem Zarnickiego.

W spojrzeniu tem odmalowała się taka siła tłumionej namiętności i tak gwałtowny gniew, że Wicherek umilkł.

Traktował on tę całą sprawę raczej żartobliwie i nie miał wcale zamiaru wszczynać awantury lub pogniewać się z Żarnickim, do którego, jak sam mówił, czuł jakąś „słabość“.

Zmienił więc prędko temat i nie wspomniał już ani słowem o Józi.

Stasia Staszyńska pomimo zapowiedzi swojej nie opuszczała lokalu „kuchni“.

Ubrana do wyjścia w kapeluszu i żakiecie, siedziała na krześle, patrząc przed siebie tępym jakimś wzrokiem.

— Stasiu, jeżeli nie wychodzisz, to zdejm żakiet. Zaziębisz się, tutaj gorąco — troskliwie upominała Hanka.

Stasia niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Daj mi spokój! — odburknęła.

Hanka nie odzywała się już więcej, rzucała tylko kiedy niekiedy na siostrę niespokojne spojrzenia. — Wiedziała bowiem, że Stasia w podrażnieniu i gniewie niedostępna jest dla wszelkiej rozsądnej perswazyi.

Milczała więc, łamiąc sobie na próżno głowę nad wyszukaniem przyczyny tej nagłej zmiany usposobienia siostry.

Hanka rada była, że zbliża się już godzina szósta i dyżur się kończy. Chciała jak najspiesniej wyciągnąć stąd Stasię, aby ta w podnieceniu nie popełniła jakiegoś nietaktu.

Pospiesznie więc z pomocą Józi i owego różowego, wysokiego chłopca, który nazywał się Gliniewicz, uprzątała i porządkowała wszystko.

— Proszę pani, ja muszę już iść — oświadczyła Józia. — Późno już, mieszkam daleko, a w domu czekają na mnie.

— Ja panią odprowadzę, panno Józiu — ofiarował się pospiesznie Gliniewicz.

— Ano, dobrze — odparła niedbale dziewczyna, rzucając ukradkowe spojrzenie gdzieś w bok na salę.

Zdjęła z wieszadła swoją miękką, czarną, futrzaną czapeczkę i nasunęła ją na włosy trochę zuchowato, na bakier.

Robiła to bardzo powoli, jakby demonstracyjnie. Jasna cera dziewczyny zdawała się jeszcze jaśniejszą, odbijając korzystnie od czarnego futerka czapeczki.

Gliniewicz sięgnął ręką po żakiet, aby go podać Józi, zanim jednakże zdołał go ująć, uprzedził go w tem Zarnicki, odsuwając niemal brutalnie Gliniewicza na bok.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon polskiego uczonego.

Nauka polska i Wszechnica Jagiellońska poniosły znowu dotkliwą stratę. W Krakowie zmarł w 79 roku życia ś. p. ks. dr. Stefan Pawlicki, profesor uniwersytetu krakowskiego, jeden z najwybitniejszych pracowników na niwie filozofii, czynny do ostatnich chwil swego życia.

Jak sam powiada w swoich wspomnieniach o Szkole Głównej w Warszawie „zajmowanie się filozofią uważał zawsze za cel życia swego". S. p. ks. Pawlicki już jako uznany uczony i autor cennych prac wstąpił w Rzymie w 1869. roku do Zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców i gromadził tam, jakoteż później po powrocie w kraju, ten wyjątkowo obfity i głęboki zasób najwyższej wiedzy i kultury umysłu i serca,



Zgon polskiego uczonego: Ś. p. ksiądz dr. prof. Stefan Pawlicki.

który sprawiał, że zarówno wśród rówieśnych jego wszyscy z uznaniem niecodziennem, a z uczniów bez wyjątku każdy z czcią i uwielbieniem przyjmował te skarby światła, poznania i uczuć, jakie przed nimi roztaczał, czerpiąc z najczystszej skarbnicy swej bogatej duszy.

A przytem, co zmarłego tłumacza najwyższych zagadnień wiedzy tak wyjątkowo wyróżniało, to owa przysłowiowa niemal pogoda umysłu i powab formy. One sprawiały, że na wykładach, czy to z zakresu sztuki, czy filozofii społecznej, o wczesnej godzinie poranka gromadzili się w wielkiej sali Kopernika uczniowie wszystkich wydziałów bez różnicy, wszyscy w oczekiwaniu, wszyscy zajęci i naprawdę przejęci.

Prócz pracy nauczycielskiej, którą rozpoczął w 1866 roku w Szkole Głównej w Warszawie (wypadki przerwały ją w dwa lata później), czynnym był przez czas jakiś w papieskiem kollegium polskiem w Rzymie do roku 1891, a potem — odtąd już aż do końca dni swoich w Krakowie.

Zmarły uczony pozostawił wielką spuściznę naukową w formie dzieł wydanych, jak: „De Schopenhaueri doctrina et philosophandi ratione", „Szkoła Eleatów", „Abelard i Heloiza", „Wyprawa filozofów", „Materyalizm wobec nauki", „Antropologia przedhistoryczna i chronologia Mojżesza", „Mózg i dusza", „Lassalle i przyszłość socyalizmu", „Studya nad Darwinizmem", „O granicach i podstawie filozofii", „O początkach chrześcijaństwa", „Historya filozofii greckiej", „Logika i dyalektyka" i inne.

Wojenne czasy nie pozwoliły na odpowiednie uczczenie znakomitego uczonego ostatnim pogrzebowym obchodem. Cichy wszakże pogrzeb odpowiadał może lepiej skromności, jaką się ks. prof. Pawlicki za życia odznaczał. Zwłoki były wystawione w kościele OO. Zmartwychwstańców przy ulicy Łobzowskiej, otoczone światłem, zielenią i kwiatami. Świątynia zapełniła się najbliższymi towarzyszami pracy na katedrze, profesorami, wielbicielami jego osoby i naukowego plonu. — Nabożeństwo żałobne przed głównym ołtarzem odprawił w licznej asyście superyor zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców ks. Wilemski. Po nabożeństwie *Castrum doloris* odprawił książę biskup Sapieha w towarzystwie licznego duchowieństwa.

Po ceremoniach kościelnych wyniesiono czarną



W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego: Okopy pod Gorlicami.



W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego: Okopy w Staszkówce pod Gorlicami.



W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego: Zburzona szkoła w Staszkówce pod Gorlicami.

metalową trumnę przed świątynię. Rektora i długoletniego profesora Jagiellońskiej szkoły pożegnał żałobną mową rektor, prof. dr. Kostanecki, podnosząc działalność Zmarłego, jako męża wielkiej nauki i zasług. — Zwłoki złożono na dwukonnym karawanie, poczem orszak żałobny ruszył na cmentarz krakowski.

Szpital rezerwowy Legionów.

Opieka sanitarna nad chorymi i rannymi żołnierzami jest najważniejszą troską każdej armii. Żoł-





Uszkodzona szkoła w Kołaczycach koło Jasła. **W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego:** Grób lotnika rosyjskiego w Jaśle.



Szpital rezerwowy Legionów: Oddział sanitarny szpitala rezerwowego Legionów w Kozienicach (Królestwo Polskie).

nierz, który w trudach wojennych stracił zdrowie, lub w bitwie odniósł rany, musi znaleźć wszystko, co może mu zdrowie powrócić i odniesione rany zagoić.

Szpitale legionowe spełniają od początku wojny znakomicie swoje zadanie. Na czele ich stoją ludzie, którzy dla zdrowia żołnierzy poświęcają wszystkie swoje siły i zdolności.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze fotografia przedstawia oddział sanitarny szpitala rezerwowego Legionów, znajdującego się przedtem w Kamieńsku, a obecnie w Kozienicach (Królestwo Polskie). Kierownikiem szpitala jest lekarz pułkowy dr. Stefan Rudzki. Obok niego znajdują się na fotografii: porucznik dr. H. Szantruczek i chorążowie: I. Müller, A. Diamand, R. Tatkowski i T. Starzyński.

Odsłonięcie tarczy wojennej w Łańcucie.

Ku pamięci po poległych pospolitakach okręgu rzeszowskiego i powiatu łańcuckiego oraz celem ulżenia doli pozostałych wdów i sierót, sporządzoną została z inicyatywy komisyi ekonomiczno-administracyjnej w Łańcucie przy c. k. komendzie pospo-



W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego: Zburzona ochronka w Tuchowie pod Tarnowem.



Synowie ziemi piastowskiej w Legionach: Porucznik Jan Pyszko, kom. 8 komp. II. Bryg. Legionów polskich

Z żałobnej karty Legionów.

Niedawno zmarł w szpitalu wojskowym „Czerwonego Krzyża“ w Nowym Targu legionista szóstego pułku, Daniel Ostrowski, syn Józefa, byłego posła do Dumy, włościanina ze Smardzewic, powiatu opoczyńskiego. Był to jeden z gorących patryotów i pracowników na polu uświadomienia narodowego włościaństwa w Królestwie Polskiem. — Idąc za przykładem ojca, który od pierwszej chwili stanął pod sztandarem Legionów, młody Ostrowski odrazu zgłosił się do szeregów. Nie wzięty z powodu choroby nóg, stał się gorliwym szerzycielem idei Legionów w swojej okolicy. Linia bojowa szła od grudnia roku 1914 do końca maja 1915 roku



Z żałobnej karty Legionów: Legionista 6 pułku ś. p. Daniel Ostrowski (XX) z ojcem, posłem do Dumy Józefem Ostrowskim (X), podczas obchodu 3 Maja 1915 r.

przez ich gminę, mimo to on wraz z ojcem, znalazłszy się po tej stronie linii, niezrażony niczem, szerzył uświadomienie narodowe. Równocześnie jednak wciąż ponawiał starania o dostanie się na front. Aż wreszcie gorącym życzeniom jego stało się zadość. Wraz z szóstym pułkiem wyrusza późnem latem na Polesie i bierze udział w całej krwawej kampanii jesiennej i wychodzi z niej cało. Dopiero w grudniu ciężka choroba wyrwała go z szeregów. Przewieziony do szpitala w Nowym Targu, po kilku miesiącach zmagań się z chorobą — mimo troskliwej opieki lekarskiej — zmarł w dwudziestym trzecim roku życia. Cześć Jego pamięci!

Zamieszczona fotografia przedstawia ojca Józefa i ś. p. Daniela ze sztandarem narodowym w roku 1915 po obchodzie Trzeciego Maja w Piotrkowie.

Synowie ziemi piastowskiej w Legionach.

Z rozpoczęciem walki z odwiecznym wrogiem Polski, stara jej dzielnica, Śląsk cieszyński, stanął na równi z innemi dzielnicami z bronią w ręku. Znane jest już ogółowi polskiemu bohaterstwo i sprawność bojowa Ślązaków. Wielu synów tej dzielnicy padło śmiercią bohaterską na polach Mołotkowa, Nadwórnej i Pasiecznej — wielu z nich przetrwało trudy, pełniąc dotąd twardy obowiązek polskiego żołnierza aż do ostatecznego zwycięstwa.

Jednym ze znanych na Śląsku pracowników na niwie fizycznego i moralnego odrodzenia młodzieży polskiej jest porucznik Jan Pyszko, założyciel i długoletni naczelnik „Sokoła“ w Karwinie. Wydatna praca jego znaną jest również w innych gniazdach sokolich — we Frysztacie, Michałkowicach i Dziedzicach. Ostatnio przyczynił się do założenia „Sokoła“ w Brzeszczach. Wielkiego zwolennika znalazła w nim reforma „Sokoła“, to jest utworzenie stałych drużyn sokolich. Uznając doniosłość fachowego wykształcenia militarnego, niezbędnego do walki z regularną armią, zawsze brał udział w urządzanych przez władze sokole kursach wojskowych i przygotowaniach przedwojennych.

W pierwszych dniach mobilizacyi sokolej wyjechał na czele dwudziestu ośmiu członków S. D. S. w Brzeszczach do obozu koncentracyjnego w Sierszy, stamtąd do Krakowa, skąd niebawem po sformowaniu pułków wyjechał, jako chorąży ósmej kompanii drugiego pułku piechoty, do Karpat.

Odbył kampanię karpacką, brał udział we wszystkich walkach. Dnia 11. czerwca 1915 roku ranny został w rękę, gdy jako podporucznik szedł na czele swego oddziału do ataku pod Zadobrówką na Bukowinie.

W dowód dzielności, odwagi i przytomności umysłu w nadzwyczaj trudnej sytuacyi, otrzymał najwyższe pochwalne uznanie „Signum laudis“. — Po sześciotygodniowej rekonwalescencyi wraca do linii na inny teren operacyjny Legionów, gdzie otrzymuje w grudniu 1915 roku rangę porucznika. — Prawością charakteru i zdolnościami zdobył sobie uznanie przełożonych, zaś odwagą i taktownem obchodzeniem się z żołnierzami ogólny szacunek i przywiązanie.

litego ruszenia l. 17, tarcza wojenna, dzieło rzeźbiarza Andrzeja Muni, pełniącego przy komendzie służbę pospolitaka.

Celem urzeczywistnienia wytkniętego celu, utworzył się ściślejszy komitet, złożony z przedstawicieli władzy wojskowej, politycznej oraz obywatelstwa. Uroczyste odsłonięcie tarczy odbyło się dnia 21-go marca b. r. na Małym Rynku. W uroczystości wzięli liczny udział mieszkańcy miasta i okolicy, a dochód ze sprzedaży gwoździ, wbijanych do tarczy, osiągnął już w pierwszych dniach pokaźną sumę około tysiąca pięciuset koron. Kwota ta przekazaną została władzom właściwym celem obrócenia jej na cele ofiar wojny, z tem, iż zbiórka trwać będzie i nadal, w nadziei, że coraz szersze warstwy społeczeństwa swymi datkami dopomogą do powodzenia szlachetnego dzieła.



Odsłonięcie tarczy wojennej w Łańcucie: Tarcza wykonana przez art.-rzeźbiarza p. Munię



Odsłonięcie tarczy wojennej w Łańcucie: Uroczystość odsłonięcia tarczy.

MAXIME ANDONIN.

Tajemnica umarłego.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

5

Telegram ten brzmiał w następujący sposób: „Towarzyszy do Paryża rodzinie. Wyjechać na spotkanie nasze do Orsay!"

— Mamy go w swojej mocy! — zawołał uradowany Parpaing, zacierając ręce.

— A panna Louviers? — zapytałem.

— Do tej pory żadnej niema wiadomości o niej. Ale bądź pan spokojny, znajdziemy. Poszukiwania na wszystkie strony idą w przyspieszonem tempie. Przytem poprosiłem o pomoc jednego mojego przyjaciela, należącego do rządowej policyi. Przyrzekł mi gorący współudział. Porozrzucałem po dziennikach różnobrzmiące wezwania, zredagowane dużym i wyraźnym drukiem. Nie wątpię, że usiłowania te wykażą jakiś skutek.

— Akcya nasza będzie teraz utrudniona. Lopez śledzić nas będzie i przeciwdziałać naszym zamiarom.

— Ale zapomina pan, że i on będzie przez nas śledzony i krępowany w ruchach. No, kochany panie, trochę spokoju i cierpliwości. Niech pan wraca teraz do swojego mieszkania i czeka na wiadomości odemnie. Jak tylko zajdzie coś ważnego, uwiadomię pana telefonicznie. Proszę mi tylko zaufać.

Pożegnawszy pana Parpaing, powróciłem do domu zdenerwowany i zmęczony. I odtąd zaczęły się godziny męczącego i gorączkowego oczekiwania. Pan Parpaing dotrzymał aż nadto obietnicy. Dzwonek przy telefonie jęczał bezustannie, drażniąc mnie i wyprowadzając z równowagi. Po paru godzinach uczułem taki szum i chaos w głowie, iż pewny byłem, że jestem na drodze do utraty zmysłów. Ostatnim wysiłkiem woli opanowałem się jednak i dalej śledziłem wściekłe drgania aparatu, przynoszącego mi wiadomości.

Dowiedziałem się w ten sposób, że Lopez przybył do Orsay wraz z siostrą i Manuelą, że zatrzymał się w „Hotelu amerykańskim". Następnie, że udał się bezzwłocznie po przyjeździe do pewnej ajencyi przy ulicy Rihelieu, skąd detektywi, jak banda psów gończych, rozpierzchli się po mieście. Parpaing naturalnie zaraz za ich śladem wypuścił swoich. Wkońcu doniesiono mi, że jeden z naszych detektywów wślizgnął się do „Hotelu amerykańskiego", przepłaciwszy chłopca usługującego, którego umiał chwilowo zastąpić i w ten sposób wygodnie mógł śledzić poruszenia i rozmowy rodziny Lopez, nie domyślającej się niczego.

Do tej pory wszystko miało przebieg jak najlepszy.

Fatalna wiadomość! Detektywi Parpaing'a dali się odkryć tamtym, z ajencyi „Vitreux". Od tej chwili Lopez podwoił czujność i przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. I pomimo zdwojonej gorliwości naszych ajentów, których miłość własna i fachowa ambicya podrażniona została — Lopez jak piskorz wyślizguje się im z rąk, wychodzi i działa w tak tajemniczy sposób, że nic z jego planów uchwycić nie mogą. Jeżeli więc pomimo wszystko, jemu pierwszemu uda się odkryć miejsce ukrycia Niny — jesteśmy zgubieni! Wywiezie ją, ukryje i już na zawsze stracę nadzieję porozumienia się z nią!

Dzień jeden przeżyłem w tych dręczących niepewnościach. Na szczęście nazajutrz wieczorem wpadł nagle do mojego gabinetu Maryusz, trzymając w ręce telegram wysłany z Challie i noszący podpis panny Louviers:

„Jestem u mojej piastunki — powracam jutro do Paryża!"

To już było zupełne zwycięstwo dla nas! Maryusz nie posiadał się z radości, ściskał gorączkowo moje ręce, płacząc ze wzruszenia, biegał po pokoju jak szalony! Radość moja była niemniej żywą, jednak bardziej powściągliwą. Przeżywałem, pierwszy raz od wielu tygodni, chwilę prawdziwego spokoju i zadowolenia. Powtarzałem sobie po raz setny, ujrzę się tą myślą, że z dniem jutrzejszym skończą się wszystkie moje udręki, że dowiem się nareszcie wszystkiego, że będę mógł nareszcie po latach tylu uczynić zadość drogiej pamięci moich zmarłych rodziców i oddać w ręce sprawiedliwości niegodnych zbrodniarzy, używających dotąd wolności bezkarnej. A przytem — dlaczego miałbym się bronić przed dziwnem uczuciem, jakie mnie ogarnęło nagle na tę myśl — jutro ujrzę pannę Louviers, moją sympatyczną znajomą z „Nawary"! Gdyby mi ona rzeczywiście mogła jeszcze przynieść dowód pewny i jasny niewinności jej ojca, szczęście moje byłoby całkowite.

Niestety, jakże błahym i kruchym jest tryumf ludzki! Jakże daleka i kapryśna droga, wiodąca do szczęścia! Udawałem się już na spoczynek, osłabiony tyłoma różnorodnemi uczuciami, kiedy wstrząsnął mną silny dźwięk dzwonka, rozlegający się w przedpokoju. Prawie równocześnie do sypialni mojej wbiegł jakiś człowiek w liberyi chłopca hotelowego.

Był to detektyw z „Hotelu amerykańskiego". Przyniósł mi telegram, znaleziony przez niego w mieszkaniu Lopeza, z którego dowiaduję się, że Lopez wyjechał w nieznanym kierunku w towarzystwie dwóch kobiet!

Doznałem takiego wrażenia, jak gdyby kamień jakiś olbrzymi spadał na moją czaszkę. Na telegramie nie było podpisu, nadany był z Challie i zawierał jeszcze lakoniczne doniesienie: „przybyła tutaj".

Telegram ten pochodził niewątpliwie od detektywa z ajencyi Vitreux, wysłanego do Chaillié w celu śledzenia domu Teresy Mironneau. Najwidoczniej Lopez i jego siostra poinformowani byli o krótkiej bytności Louviersa i Niny u starej piastunki i przeczuwali, że wcześniej czy później młoda dziewczyna podąży jeszcze w te strony.

Nędznicy ci byli silniejsi odemnie! Byłem bezradnem dzieckiem, rzuconem na ich łaskę!

Bo cóż pozostawało mi teraz do czynienia? Czy mogłem myśleć o ich wyprzedzeniu? Wiedziałem doskonale, jakie pociągi dzienne odchodzą do Wandei. Musieli pojechać tym samym, którego ja użyłem, to jest błyskawicznym, wychodzącym z dworca Montparnasse o godzinie dziewiątej wieczorem i mogli być na miejscu o godzinie czwartej minut dziesięć rano.

Był to pociąg najszybszy i najdogodniejszy, nie ulegało więc wątpliwości, że ten, a nie inny przez nich wybrany został. W Niort, które było ostatnim przystankiem, wzięli automobil i przybędą do Challié w porannych godzinach.

Nie mogłem nawet wykorzystać możliwości zatelegrafowania do panny Louviers, gdyż biuro pocztowe w Challié musiało być w nocy zamknięte, a przed godziną otwarcia go, Lopez mógł być już na miejscu i rozpocząć swoją działalność.

Przyszło mi na myśl zwrócenie się do policyi, ale po chwili zastanowienia odrzuciłem ją, jako niewykonalną. Nawet władze policyjne nie potrafiłyby wyprzedzić don Lopeza, a zresztą mogłem stracić kilka godzin na wyłuszczenie nieznanej im sprawy i nie osiągnąć tego, czego pragnąłem. Zrozumiałem więc jasno, że tym razem to już przegrana całkowita i nieodwołalna! W tem przekonaniu przebyłem noc całą. Przedewszystkiem męczyło mnie straszne uczucie przygniatającej mnie bezsilności. Już raz nawiedziło mnie ono, kiedy w la Guardzie, przywiązany do drzewa, znieść musiałem okrutne żarty moich wrogów, czując pewną śmierć, zawieszoną nad moją głową.

Zgasła na zawsze nadzieja odwetu i szczęścia! I stało się to w tej chwili, kiedy pewny siebie i spokojny sądziłem, że dopływam nareszcie do upragnionego portu. Naprawdę los nie był dla mnie zbyt łaskawy!

Jutro panna Louviers, ta łagodna a energiczna dziewczyna, która od pierwszego spojrzenia wzbudziła we mnie tak żywe zainteresowanie, zamienione później w uczucie poważne, które stłumić w sobie usiłowałem przez wzgląd na tragiczne okoliczności, towarzyszące naszemu spotkaniu — jutro, ta Nina, której imię wymawiam z zachwytem i pieszczotą, będzie pod wpływem władzy nędznika, budzącego we mnie nienawiść i wstręt niewymowny.

Brzmiał mi jeszcze jej głos nabrzmiały grozą i przerażeniem, kiedy stojąc za mną w salonie parowca „Nawary", szeptała tajemniczo:

— Gdyby pan wiedział! Gdyby pan mógł wiedzieć wszystko!

I nie dowiem się nigdy, niestety! I nic nie mogę uczynić, aby odwrócić odemnie ten cios ostatni!

Mogłem co prawda śledzić przejazd jego na dworcach kolejowych, ale Lopez ze swojej strony mógł również zabezpieczyć się przed tą ewentualnością i zatrzeć wszelki ślad za sobą.

Zostawała więc tylko jedna, jedyna ewentualność. Starać się wszelkimi sposobami nie stracić kontaktu z don Lopezem. Jak mówił Maryusz, pozostawił kufry swoje w hotelu, więc albo się po nie zgłosi, lub też po nie zaufanego człowieka przyśle. Ale jeżeli rozmyślnie je pozostawił dla zmylenia nas i więcej po nie się nie zgłosi — w takim razie i ta drobna nadzieja st acona.

Jednakże nie m na było tego lekceważyć! Ale, ażeby i ta sposobność nie wymknęła nam się z ręki, należało natychmiast przeciwdziałać kombinacyom rywalizującej z nami agencyi.

Poświęciłem więc na to dzień następny. Wyszedłszy od pana Parpaing, z którym się w tej kwestyi porozumiałem, udałem się na ulicę Richelieu do pana Vitreux, do którego przemówiłem w następujący sposób:

— Mój kochany panie! Służąc don Lopezowi, nie wie pan zapewne, że dopomaga pan sprawie zbrodniczej. Obowiązkiem moim jest oświecić pana nieświadomość, która wywołać może bardzo przykre dla pana następstwa i narazić na niemałą odpowiedzialność wobec władz. Sądzę, że pan zrozumie moje pobudki i wysłucha cierpliwie mojego wyjaśnienia.

Opowiedziałem mu dokładnie o co chodzi i zakończyłem temi słowami:

— Dostanie pan dziesięć tysięcy franków, jeżeli porzuci pan służbę u don Lopeza i zacznie działać na moją korzyść.

Vitreux próbował opierać się trochę dla formy, motywując opór ten niemożliwością zdradzenia zaufania dotychczasowego klienta, ale widziałem, że suma, wyznaczona przezemnie na opłacenie tej zdrady, uczyniła na nim dodatnie wrażenie i od pierwszej chwili gotów był przyłączyć się do nas.

Chcąc jednak skrócić jego wahania, dodałem jeszcze stanowczym głosem:

— Jeżeli pan nie przyjmie mojej propozycyi, udaję się natychmiast do prokuratoryi, gdzie złożę oskarżenie na pana.

— Ależ owszem, przyjmuję ją — zawołał detektyw, uśmiechając się słodko.

Posłałem go więc do pana Parpaing, który miał mu wydać pewne polecenia, sam zaś powróciłem do siebie.

Czekała mnie tu przykra niespodzianka! Telegram z Challié, wysłany przez Teresę Mironeau, zawierający te słowa:

— Nina porwana!

Upłynęło znowu dni kilka, nie przynoszących żadnych wiadomości! Lopez nie dawał znaku życia, nie pojawił się w hotelu po rzeczy, widocznie obawiając się zasadzki. Byłem jednak przekonany, że nie opuścił jeszcze Francyi. Niemożliwością było, aby się to stać mogło bez naszej wiedzy. Wszystkie granice, porty i dworce kolejowe były strzeżone, dzięki interwencyi policyi rządowej, którą nareszcie potrafiłem przekonać do naszej sprawy.

Gdzie się więc mógł Lopez ukrywać? Może w jakimś nędznym zakątku prowincyonalnym, nieznanym przez nas? I na cóż czekał, aby się odważyć wyjść z tej kryjówki? Czy zmusił groźbami nieszczęśliwą dziewczynę do bezwzględnego posłuszeństwa i bierności. A może nędznik, znając jej charakter nieugięty i przewidując chwilę, w której, niebaczna na wszystko, zechce uczynić kompromitujące go zeznania, postanowił zabezpieczyć się przed nią na zawsze i zamordował ją, tak, jak zamordował moich rodziców?

Bo przecież tylko w ten sposób mógł być pewnym jej milczenia. — Umarła nie przemówi już więcej!

Trzeciego dnia wieczorem zawezwany zostałem do telefonu. Detektyw nasz z Amerykańskiego hotelu doniósł mi, że Lopez pojawił się tam, sam, wyrównał rachunek i kazał rzeczy swoje przenieść do automobilu. Szczegół ten ostatni potwierdzał moje przypuszczenia, że Lopez zechce się ukrywać w okolicach Paryża, lub gdzieś na prowincyi. Detektyw zanotował numer maszyny i doniósł o tem panu Parpaing.

Uradowałem się bardzo tą wiadomością. Czyżby znowu karta na naszą korzyść odwróconą została?

Ale oto znowu zajęczał dzwonek aparatu. Tym razem komunikacya pochodziła z ulicy Richelieu:

— Lopez przed chwilą uregulował swoje rachunki ze mną i oświadczył, że dalej nie będzie już korzystał z moich usług, odjechał automobilem prywatnym, nie mającym numeru.

— Ależ pan się myli. To była dorożka automobilowa.

— Nie mylę się wcale. Na rozkaz mój chłopak, oddany mi do posług, obejrzał dokładnie maszynę. Podałem natychmiast jej opis do biura policyjnego, gdzie mi odpowiedziano, że automobil ten nie należy wcale do seryi dorożek miejscowych.

W takim razie Lopez zmienił maszynę pomiędzy ulicą Czwartego Września a ulicą Richelieu i ta, którą odjeżdża, jest tą samą, na której wjechał do Paryża. Ten nędznik umiał być ostrożnym! Ale pomimo tych szatańskich jego wykrętów, teraz, kiedy już został pochwycony ślad jego przez policyę, musimy go w ręce nasze dostać. Chcąc być przygotowanym na każdą ewentualność, zatelefonowałem najpierw do pana Parpaing, aby mi natychmiast przy-

słał dwóch pewnych i silnych ludzi, następnie do garażu „Gwiazdy“, aby przygotowano do mojej dyspozycyi najlepszy automobil, który miał dniem i nocą stać w pogotowiu przed mojem mieszkaniem.

W dziesięć minut później Parpaing wchodził do mojego gabinetu. Przybywał prosto z biura dyrektora policyi, który mu podał następujące szczegóły, dotyczące bytności Lopeza w Paryżu: „Automobil wynajęty został w garażu w Wersalu, gdzie od dni trzech Lopez zamieszkał w Hotelu Cudzoziemców z siostrą swoją i garderobianą Manuelą. Była z nimi jeszcze młoda dziewczyna, która wydaje się być bardzo chorą“.

— Ach, do dyabła! — zawołałem. — Ci nędznicy musieli ją uśpić narkotykiem i wywieźć przemocą, inaczej nie byłaby im uległa tak prędko!

— To jest bardzo prawdopodobne — odpowiedział Parpaing — i ten zbytek ostrożności zgubić ich może.

— Czy znajdują się jeszcze w tym hotelu?

— Nie. Ale posłuchaj mnie pan. Lopez zapisał się tam pod nazwiskiem pana Benoit, podróżującego z siostrami i panną służącą. Zaraz po przybyciu udał się za poszukiwaniem willi w okolicy Versalu, gdzie zainstalował się nazajutrz. Towarzysząca rodzinie młoda dziewczyna była tak osłabioną, że musiano ją przewieźć powozem. Otóż od człowieka, który ten powóz wynajął, policya dowiedziała się o adresie Lopeza. Tenże zaś, ażeby odwrócić wszelkie podejrzenia od siebie, powracając do Paryża, kazał się zawieźć na dworzec kolejowy do Chautiers, jak gdyby stamtąd zamierzał odjeżdżać. Ale przyznać musimy, że mamy do czynienia z chytrym ptaszkiem, nieprawdaż?

— Ale adres? Ten adres willi? — zawołałem niecierpliwie, rozumiejąc tylko rzecz jedną, że tam znajduje się panna Louviers.

— Na drodze z Versalu do Saint Cloud, na brzegu lasu Fausses-Reposes, willa „Iridée“.

Nie słuchałem już dalszych wywodów pana Parpaing. Dowiedziałem się nareszcie tego, na czem zależało mi najwięcej. Od dnia poprzedniego automobil, przysłany z garażu, stał przed mojem mieszkaniem, wywołując zaciekawienie i komentarze sąsiadów. Szofer był pewnym i uczciwym człowiekiem. Zbiegłem, jak szalony, po schodach i wskoczyłem na maszynę, nagląc do pospiechu pana Parpaing i dwóch detektywów, mających nam towarzyszyć. W chwili, kiedy mieliśmy już ruszyć, do automobilu wskoczył Maryusz, zdyszany i zmęczony. W ręce trzymał pakiet starannie owiązany.

— Co to jest takiego? — zapytałem go zaintrygowany, kiedy maszyna ruszyła już z miejsca i pędziła z szaloną szybkością we wskazanym kierunku.

— To? — odpowiedział Maryusz, uśmiechając się tajemniczo. — To jest rzecz, która na razie nie powinna interesować pana, panie Fontaine. Przydać się jednak może przy stosownej okoliczności.

W pół godziny później dojeżdżaliśmy do lasu, oddalonego od willi o kilkaset metrów zaledwie.

Kazałem stanąć szoferowi i resztę drogi postanowiłem odbyć pieszo. Trzeba było bardzo ostrożnie działać z tak silnym przeciwnikiem, jakim był Lopez. Jeden fałszywy krok, a mogliśmy sprowadzić ostateczne nieszczęście na istotę, którą pragnęliśmy tak bardzo wyrwać z pod władzy tego strasznego zbrodniarza.

Musieliśmy więc nagle, bez żadnego ostrzeżenia zjawić się na miejscu i zaskoczyć go tem nieoczekiwanem najściem.

Tajemnica umarłego.

Schronienie Lopeza było silnie strzeżone.

Wysoki, blizko dwumetrowy mur otaczał ogród, w którym wznosił się pawilon.

Brama szeroka, żelazna przerywała mur ten naprzeciw drogi wjazdowej, z której widok, niczem nieocieniony, biegł przez trawnik, prosto na pawilon. Nie było nawet można marzyć o przekroczeniu bramy, bez zwrócenia uwagi służby lub mieszkańców willi.

Pozostawał więc tylko mur, przez który dostać musieliśmy się, używając do tego jakiejś nadzwyczajnej pomocy.

Parpaing zaproponował, aby wysłać szofera za poszukiwaniem drabiny, ale Maryusz sprzeciwił się temu.

— Drabina będzie zupełnie niepotrzebna! — rzekł, rozwijając swój tajemniczy pakiet. — Nie napróżno pochodzę z Marsylii, gdzie ludzie nie od parady noszą głowy na karkach. Co pan o tem myśli, panie Fontaine?

— Cóż to jest? — zawołałem zdziwiony — lasso?

— Tak, lasso, i to najprzedniejszego gatunku.

— I do czego posłużyć panu może w tej okoliczności?

— Zaraz się pan przekona, proszę tylko iść za mną.

Silnie zaciekawieni podążyliśmy za nim. Zaprowadził nas do miejsca w murze, nad którym wznosiło się drzewo olbrzymie. Jedna grubsza gałąź zwieszała się aż na drogę, na której staliśmy. Maryusz zręcznie zarzucił lasso. Okręciło się kilkakrotnie koło gałęzi, a koniec zawisł w powietrzu na wysokości naszych ramion.

— No, a teraz — zawołał Maryusz — proszę korzystać z tej windy. Kto ryzykuje iść pierwszy?

Pochwyciłem sznur i w minucie byłem już po drugiej stronie muru, w ogrodzie. Za mną pospieszył Parpaing, detektywi i Maryusz, który zaraz odkręcił lasso i ukrył w kieszeni. Mogliśmy teraz do woli torować sobie drogę w gąszczach ogrodu.

Noc zapadała szybko i ułatwiała naszą przeprawę. Chociaż nie lękałem się spotkania z don Lopezem, ogarnął mnie dziwny niepokój i wzruszenie.

Dwa szerokie pasma światła biegły od pawilonu, rzucając jasne plamy na ogród. Biegły one od drzwi szklanych i okna otwartego, skąd dochodził nas szmer głosów. Jeden głos szorstki i gniewny należał do mężczyzny, drugi był słaby, przerywany... Dyszałem silnie na ten dźwięk znajomy. Przysunęliśmy się jak najbliżej do domu, starając się nie wychodzić z cienia drzew. Oddzielał nas tylko trawnik silnie oświetlony.

Zaczejeni w tej kryjówce mogliśmy zresztą widzieć i słyszeć wszystko.

Przez drzwi szklane zajrzałem do wnętrza pokoju.

Dojrzałem Lopeza w zuchwałej postawie, stojącego nad Niną, napół leżącą na kanapie. Bladą, zmienioną jej twarz ożywiał blask niezwykłej energii i stanowczości. Widocznie do ostatniej chwili chciała stawić czoło dręczącemu ją nędznikowi. Lopez odwrócony był do nas plecami, tak, że wyrazu jego twarzy dojrzeć nie mogłem.

Dolores i Manuela stały przy oknie, wsparte o framugę, zwrócone na ogród. Od czasu do czasu jednak odwracały się niespokojnie, śledząc widocznie przebieg rozmowy Lopeza z Niną.

Rozmowa ta, a właściwie kłótnia, stawała się coraz żywszą i donośniejszą.

— Czy mam się rzucić między nich? — szepnął Maryusz, chwytając mnie za rękę.

— Nie! Jeszcze nie! Cicho! Słuchajmy!

Lopez gorączkowym ruchem potrząsał teraz przed oczami młodej dziewczyny jakiś papier.

Dobiegł nas wyraźny i spokojny głos Niny, która cokolwiek uniosła głowę i patrzała prosto w twarz swojego przeciwnika.

— Pan wie doskonale — mówiła — że ojciec mój nigdy nie był złodziejem, że ten papier, który niby ma jego oskarżać — pana oskarża najwięcej. Ten domniemany dowód jego nieuczciwości jest jasnym dowodem zbrodni, której się pan dopuścił, bo znalazł go pan w kieszeni pana Fontaine, zamordowanego przez pana. I nie dosyć, że wymuszałeś od niego za życia większe sumy — pokusiłeś się jeszcze o zawartość jego kasy...

— Zamilcz! Słyszysz! Ani słowa więcej.

— Nie będę milczeć! Nie może mi pan zabronić rozgłosić treści testamentu mojego ojca.

Przy tych słowach odważna dziewczyna powstała i chwiejąc się, z błyszczącemi oczyma, mówiła dalej, podchodząc do Lopeza:

— Jak również nie jest pan w stanie zabronić mi w wykonaniu podwójnej misyi, przez ojca zleconej mi w chwili jego śmierci. Kazał mi przysiądz, że wydam pana słusznej zemście syna pana Fontaine i że oczyszczę pamięć jego zhańbioną przez pana. Dręczyłeś przez lat dziewięć tego nieszczęśliwego człowieka, pastwiąc się na nim niegodnie i grożąc publicznem wyjawieniem treści tej kartki; następnie zmusiłeś go pan do poślubienia niegodnej kobiety, którą pogardzał i którą nienawidził z całej duszy, bo była siostrą pana! Zabraniam panu także przeistaczać w czyn karygodny wspaniałomyślną lekkomyślność chwilową mojego ojca, która uczyniła z niego męczennika jak najszlachetniejszej idei. Ten skromny i wzorowy urzędnik przez wdzięczność za doznaną życzliwość swojego chlebodawcy, nietylko poświęcił swój mały kapitalik do ostatniego centa, ale jeszcze miał odwagę narazić się na miano złodzieja i pozwolił, aby człowiek, którego żonę rątował przed zemstą i niecną chciwością pana, miał o nim jak najgorsze mniemanie. Przecież się pan nie ośmieli zaprzeczyć, że w zamian za listy tej nieszczęśliwej kobiety, pochodzące z czasów jej narzeczeństwa, zażądał pan pięćdziesięciu tysięcy franków okupu!

Dziwne uczucie ulgi ogarnęło mnie na dźwięk tych słów. Ukazała mi się nareszcie prawda z całą jaskrawością, zrzucając ciężar winy z pamięci człowieka, który był uosobieniem wspaniałomyślności.

Więc taką była tajemnica nieszczęśliwego, z którą zeszedł do grobu, we wzniosłem zaparciu się własnej istoty — nie oskarżając nikogo!

— Rzucam to oskarżenie w oczy pana i głosić będę przed całym światem, że pan, pan jeden jedyny jest mordercą pana Fontaine i...

Już nie mogłem dłużej opanować swoich nerwów, wyciągnąłem błyskawicznie rewolwer z kieszeni i wymierzyłem do Lopeza. Ale było już zapóźno!

Nędznik pochwycił brutalnie Ninę za ręce, opierającą się z całych sił... Nie mogłem już strzelać w obawie nie zranienia jej.

Upłynęło pół minuty, która wiekiem mi się być zdawała. Dochodziły mnie urywki tragicznego dyalogu, przerywanego ciężkim, dyszącym oddechem mówiących.

— Słuchaj! — szeptał Lopez zdławionym głosem, nie wypuszczając z rąk swoich Niny — Jeżeli mi nie przysięgniesz na głowę ojca, że zachowasz tę tajemnicę dla siebie, nie wyjdziesz stąd żywa.

— Podły! — zawołała Nina, wyrywając mu się energicznie — Nie licz, że ulęknę się tej groźby! Twoja przysięga nie zniszczy mojej. Gdyby mnie nawet życie kosztować miało, dotrzymam zobowiązania mojego względem ojca!

— Czy to ostatnie twoje słowo?

— Tak! Ostatnie!

— Wystrzel pan w powietrze! — podszepnął mi Maryusz i pobiegł przez trawnik ku oknu.

Posłuchałem go instynktownie.

Już nędznik, wypuściwszy z rąk dłonie Niny, pochwycił ją pod gardło w uścisk śmiertelny.

Na odgłos strzału podniósł głowę. Tegoż właśnie oczekiwał Maryusz. Swisnęło lasso w powietrzu w błyskawicznym pędzie, zaważyło się sekundę nad głową Lopeza i spadło z dziwną zręcznością na jego szyję.

Bez jęku, napół zduszony napastnik musiał puścić swoją ofiarę, instynktownem ruchem usiłując zerwać sznur, zaciskający się coraz silniej. Lecz już go siły opuszczały... po chwili zatoczył się i runął ciężko na progu otwartych drzwi szklanych. — Nina zemdlona leżała na podłodze.

Mój dzielny Maryusz! Jemu winienem tę chwilę odwetu za męczarnie moje przeżyte w la Guardzie.

Skoczyliśmy do wnętrza mieszkania.

Przy pomocy Maryusza uniosłem Ninę i ułożyłem na kanapie. Kiedy po kilku minutach odzyskała przytomność, pierwsze jej wylękłe spojrzenie padło na mnie, klęczącego przy jej głowie.

— Pan Lionel Fontaine? — wyszeptała z trudem, poznawszy mnie.

— Tak, to ja, moje biedne dziecko. Dowiedziałem się przed chwilą o heroicznym czynie twojego zacnego ojca i odtąd czuję, że niczem nie potrafię spłacić wielkiego długu wdzięczności, zaciągniętego względem niego i ciebie, odważne dziecko moje.

Mówiąc to rozdarłem w drobne kawałki papier, oskarżający jej ojca, a który z trudem wydobyłem z zaciśniętej ręki Lopeza. Blada twarz młodej dziewczyny rozjaśniła się uśmiechem na ten widok. Wyciągnęła do mnie dłoń i szepnęła cicho:

— Dziękuję... Misya moja wypełniona... skoro już nie mam nic więcej do wyjawienia panu..

Uścisnąłem silnie tę drżącą rękę i pochylając się ku niej, wyrzekłem poważnie:

— Pani nie ma mi nic więcej do wyjawienia... ale ja teraz będę miał coś ważnego do zakomunikowania pani. Czy zechcesz mnie wysłuchać?

Pochyliła głowę, uśmiechając się łagodnie.

W pół godziny później odjeżdżałem automobilem z Maryuszem i Niną, którą chciałem powierzyć chwilowej opiece jednej dobrej mojej znajomej, oraz z panem Parpaing, który miał natychmiast poinformować dyrekcyę policyi o tragedyi, odegranej w willi „Iridée“.

Odjeżdżając, Parpaing pozostawił na miejscu detektywów swoich, z surowym nakazem strzeżenia drzwi pokoju, znajdującego się na pierwszem piętrze willi, gdzie zamknęliśmy na klucz Lopeza, wraz z siostrą i Manuelą.

Ale kiedy w parę godzin później przybyła policya z zamiarem aresztowania całej rodziny — zastała już tylko stygnące zwłoki. Nędznicy otruli się, wyprzedzając wymiar sprawiedliwości...

Upłynęło kilka miesięcy. W pogodny jeden dzień wiosenny parowiec „Nawara“ unosił mnie z Niną, która od kilku dni była moją żoną, ku la Guardzie, gdzie mieliśmy zamieszkać jakiś czas. Towarzyszył nam wierny Maryusz. Postanowił on resztę swojego życia poświęcić służbie naszej.

KONIEC.

Koncert Ludwiki Marek-Onyszkiewiczowej.

Zapowiedziany koncert p. Ludwiki Marek-Onyszkiewiczowej, który na dochód „Czerwonego Krzyża" miał się odbyć w niedzielę dnia 7. maja, został odłożony, z powodu zajęcia sali „Sokoła" na pożegnalną uroczystość ustępującego komendenta twierdzy J. E. generała zbrojmistrza Kuka, na piątek dnia 12. bm. W koncercie, który się odbędzie pod protektoratem J. E. Amalii Kukowej oraz J. O. Księżnej Pawłowej Sapieżyny, wystąpi również p. Jan Wolanek, artysta-skrzypek oraz znany zaszczytnie śpiewak dr. Teodor Lierhammer, profesor akademii królewskiej w Londynie, pod kierunkiem którego p. Onyszkiewiczowa studyowała repertuar pieśniowy.

Interesujący koncert p. Onyszkiewiczowej, który u nas obudził tak żywe zainteresowanie, powtórzony



Koncert Ludwiki Marek-Onyszkiewiczowej: Śpiewaczka Ludwika Marek-Onyszkiewiczowa.

będzie w Białej dnia 13. maja b. r. pod protektoratem p. marszałkowej Niezabitowskiej, księżnej Pawłowej Sapieżyny oraz dra Stanisława Ustyanowskiego, wiceprezydenta c. k. Namiestnictwa.

Miłośnicy prawdziwej kultury muzycznej przyjmą niewątpliwie powyższą zapowiedź obu koncertów z prawdziwem zadowoleniem.



Wielkanoc na froncie Legionów: Grupa Czwartaków na festynie wielkanocnym. (X) Lekarz czwartego pułku Legionów dr. Bobrowski z Krakowa. (Fot. Mucha C. B. W. N. K. N.)

W rocznicę przełamania frontu rosyjskiego.

Początek maja będzie zawsze pamiętny w dziejach Galicyi. Po długim okresie najazdu rosyjskiego nadszedł pamiętny maj 1915 roku. W nocy z pierwszego na drugiego rozpoczęła się ofenzywa wojsk sprzymierzonych pod Gorlicami, która miała przynieść wyswobodzenie Galicyi i ostateczny pogrom armii rosyjskiej. Rozpoczęte pod Gorlicami dzieło postępowało z błyskawiczną szybkością. Po przełamaniu frontu rosyjskiego pod Gorlicami w dniu 2. maja, już po trzech dniach, 5. maja został odzyskany Tarnów, 6. maja Dukla i Jasło, 7. maja Krosno, Pilzno, Szczucin i inne miasteczka.

Punktem wyjścia tych świetnych zwycięstw było przełamanie frontu rosyjskiego przed rokiem. — Rocznicę tę święciły też przedewszystkiem Gorlice, gdzie w dniu 2. maja odbył się uroczysty obchód. W dniu tym zapanował w Gorlicach od rana świąteczny nastrój, a tłumy mieszkańców miasta i okolicznych wsi zgromadziły się na Rynku, gdzie o godzinie dziewiątej rano miejscowy proboszcz ks. Antoni Sos odprawił mszę polową. — Po skończonej mszy św. przemówił do licznie zgromadzonej publiczności zasłużony opiekun ludności gorlickiej, której z poświęceniem niósł pomoc w ciężkich chwilach inwazyi rosyjskiej, burmistrz ks. Bronisław Swieykowski. Po kazaniu odśpiewano *Te Deum laudamus* i patryotyczne pieśni, na czem zakończył się przedpołudniowy obchód. Wieczorem zaś pozapalano na okolicznych wzgórzach ognie, które świadczyły o niewygasłej pamięci wiekopomnego zwycięstwa w historyi światowej wojny.



Wielkanoc na froncie Legionów: Festyn wielkanocny czwartego pułku. Na froncie poprzebierani Czwartacy („damy" i symboliczne postacie).
(Fot. Mucha C. B. W. N. K. N.)

Kronika tygodniowa.

Nie tak dawno, jak obawiałem się zimy, teraz narzekam znów na lato i na tego, kto gorąca wymyślił. Niebieski referent od pogody, przeczytawszy widocznie ową kronikę, pozakręcał kurki od śniegu, deszczu, zimna i wiatru, otwarł natomiast wszystkie kaloryfery i zesłał nam na ten padół łez, kart chlebowych i płaczu tyle ciepła, ile go po inne lata było w lipcu i sierpniu. Gdyby to jeszcze można było w jakiś sposób je gromadzić i chować na później, miałby się przynajmniej człowiek czem ogrzać, bo chyba nikt nie wątpi, że nieraz jeszcze przyjdzie ze zimna dzwonić zębami. Wszak za dni zaledwie kilka obchodzić będziemy uroczystość trzech starych kawalerów: Pankracego, Serwacego i Bonifacego, zwanych powszechnie „Eismännerami".

W każdym razie lepiej, że jest pogoda i ciepło, przynajmniej obejdzie się bez palenia w piecu, a węgle zdrożały i, choć lato, ani myślą potanieć. Z wszelkiego zresztą rodzaju paleniem jest ogólna klapa, brak zwłaszcza tytoniu daje się nam coraz bardziej we znaki. Pewna czcigodna staruszka, z którą spotykam się codziennie na Rynku, gdy wraca z kościoła św. Barbary, narzekała przedemną, iż już prawie od miesiąca nie może nigdzie dostać ani łuta tabaczki, a jest to jedyna z jej doczesnych przyjemności. Pocieszałem ją, jak umiałem, twierdząc, że lada dzień nadejdą do Krakowa zapasy przetworów tytoniowych, więc z nimi i tabaczka, ale sam w to nie wierzę.

— Dałby Pan Bóg! — westchnęła i podreptała pod trafikę, pod którą zwijał i rozwijał się ogon chcących kupić „bodaj jednego cienkiego", długi na pół kilometra.

Ja tam jeszcze bardzo nie narzekam, otrzymałem bowiem od jednego z mych politycznych przyjaciół dwanaście sztuk *virginia* i codziennie, po tak zwanym obiedzie, delektuję się ich niezbyt wonnym dymem.

Ponieważ wojna nauczyła nas różnych wynalazków, zacząłem przemyśliwać nad tem, czyby tytoniowych liści nie dało się zastąpić czem innem, na przykład kapustą lub burakami i robiłem nawet w tym kierunku próby, niestety z bardzo ujemnym wynikiem, choć dym i smak takiego papierosa bardzo przypominał dawniejsze kuba i portoriko.

Równocześnie, aby nas tem bardziej pogrążyć w czarną rozpacz, podrożało też i piwo, bomba pilznera kosztuje już pięćdziesiąt halerzy, a obiecują tu i ówdzie, że na tem się nie skończy, ale cena dojdzie niedługo do korony, co znów wielką radość sprawia członkom „Eleuteryi", spodziewającym się, że, jeśli kiedy, to teraz odzwyczai się naród od pijaństwa i będzie gasić pragnienie tylko wodą. — Ale, jeśli gorąca będą nas dalej prześladować, to i wody może braknąć, na wszelki przypadek wypadałoby już teraz zacząć robić zapasy na czarną godzinę.

A tu tymczasem końca wojny jak nie widać, tak nie widać, ba znalazł się nawet jakiś prawdziwy Filip z Konopi, który zapowiada, że główna ofenzywa francusko-angielska przygotowuje się na rok 1917, w razie zaś nadzwyczajnych, a usunąć się nie dających przeszkód odłożoną będzie „na ogólne żądanie" na rok 1918.

Bodaj ten prorok w konia wlazł! — pomyślałem sobie — Niechby już nawet w takiego, o jakim pisze *Kuryerek*, co to na polu walki ledwie nogami suwa, a gdy się znajdzie poza frontem zadziera ogon i wierzga.

Ze względu na to, że notuję wszelkie przepowiednie odnoszące się do końca wojny, otrzymuję też co kilka dni listy, w których Czytelnicy podają mi swoje i nieswoje zapatrywania w tym kierunku. Znalazł się nawet jeden, który wywnioskował, że wojna nigdy się nie skończy i dowodzi matematycznie, że ma racyę. Tych proroctw jest jednak zbyt wiele, aby każdemu z nich można osobną poświęcić wzmiankę. Po ukończeniu wojny przekonamy się przecież, kto miał racyę i ten może być pewny nagrody, choćby nawet z fundacyi Nobla i to wypłaconej prawdziwem, a nie sztucznem złotem, jakie się w czasie wojny pojawiło.

Ba, ale choć wojna się nawet skończy, czeka nas nowa, mogąca nosić nazwę domowej, stokroć od obecnej zacięta i sroższa. Będzie to walka dwu płci, męskiej i żeńskiej, o prawo zarobkowania.

Ponieważ na wojnę poszli mężczyźni tylko, a amazonek dotąd nie zmobilizowano, zajęły tymczasowo kobiety ich miejsca i tak im tam dobrze, iż powiadają, że choć wojna się skończy, a chłopy wrócą, one się stamtąd nie ruszą. A mamy ich sporo po różnych biurach, w tramwajach, gdzieniegdzie pełnią służbę policyjną, zajęły kozły dorożek, słowem, wdarły się we wszelkie dziedziny pracy, dotąd tylko mężczyznom dostępne.

I nic też dziwnego, że kwestyą tą zajmuje się już i prasa całego świata, a pan Eugeniusz Brieux, dramaturg i członek Akademii francuskiej, wyraźnie powiada, iż jest przekonany, że walka gospodarcza między mężczyzną a kobietą przybierze najostrzejsze formy.

Oto jego słowa:

„Gdy nasi żołnierze powrócą z wojny, zechcą po powitaniu rodziny i po zawieszeniu na ścianach zdobytych wieńców laurowych napowrót oddać się swym dawnym zajęciom. Wtedy dowiedzą się często, że miejsce ich tymczasem zajęła dama, która nie chce go opuścić.

— Przyzwyczaiłam się obecnie do zarabiania samodzielnie na utrzymanie — odpowie ona — i dowiodłam, że dorosłam do wymagań. Nie mogę już wyzbyć się wolności działania, którą mi dało samodzielne zarobkowanie.

Ale mężczyzna odrzecze na to z powagą:

— Cierpiałem nieskończenie wiele właśnie z powodu mej wolności i mojej pracy, biłem się, mnie się należy miejsce, na które zostałaś powołaną chwilowo.

Kobiety będą miały swoją słuszność, mężczyzna także swoją, gdy jednak dwa stronnictwa mają słuszność, wtedy walka staje się najbardziej zacięta.

Niewiasty dzisiejsze zakosztowały zakazanego owocu, którego dotąd bronił im mężczyzna, dziś wiedzą, co mogą zdziałać, wiedzą też, że mężczyźni są mniej daleko potrzebni, niż im kazano w to wierzyć. Spadła im zasłona z oczu, uświadomiły sobie swoją własną wartość.

My nie jesteśmy jednak wcale tak głupie, wcale tak słabe, wcale tak niemądre, ani też tak niezdatne, jak nas zawsze mężczyźni przedstawiają. Więc jest jednak dla kobiety coś jeszcze innego, jak małżeństwo, stoją dla niej jeszcze inne drogi otworem. Kobieta, wystarczająca sobie, zdobyła prawo wyboru ojca dla swego dziecka i tak samo nie zrzeknie się tego prawa, jak i innych równocześnie zdobytych, nie zamieni go na więzy, z których się wyrwała, jak nie porzuci urzędu, który jej na to pozwoli".

Jak z tego widać, pan Brieux (jeżeli żonaty, to z pewnością pantofel, który pisze tylko to, co mu jego Weronisia każe) właściwie oświadcza się po stronie kobiet i im słuszność przyznaje, zwłaszcza, że wywody swoje kończy stwierdzeniem konieczności przystosowania się mężczyzny do nowych warunków i w imieniu kobiet stawia następujące wnioski:

1) Mężczyzna wyrzeka się raz na zawsze trunku. Nie może się nigdy usprawiedliwiać, że „gospoda jest salonem ubogich".

2) Mężczyzna odczuwa poszanowanie dla kobiety, przestaje w niej widzieć słabą, mało uzdolnioną i obowiązaną do posłuszeństwa istotę.

3) Musi zerwać ze wstrętnym zwyczajem szukania posagu.

4) Nie będzie się już więcej żenił, celem uzyskania spokoju, gdy już dawno skończył swą młodość, lecz w pełni sił i młodości, ażeby razem walczyć i razem cieszyć się radosnymi wynikami".

Te cztery warunki, do których możnaby dodać jeszcze inne (n. p. „nie będzie prosił o klucz od bramy, nie odmówi pieniędzy na nowy kostyum lub kapelusz, będzie sam piastował dzieci, cerował im pończochy i przyszywał guziki"... i t. d.) stanowić będą podstawę pokojowych preliminaryów między obiema płciami, boję się jednak, iż, jeżeli mężczyźni pójdą za głosem pana Brieux i przyjmą je bez zastrzeżenia, zejdą stanowczo na drugi plan i nigdy już nie potrafią odzyskać znaczenia, jakie mieli przed wojną. Mąż będzie głową domu, ale żona będzie znowu szyją, która tą głową kręci, jak jej się podoba, choć, prawdę mówiąc, to podobnych stadeł mieliśmy dość i w czasie przedwojennym, gdy kobiety nie miały jeszcze sposobności przekonania się, jaką mają wartość.

Co do mnie, ja warunków tych nie akceptuję i z moją Weroniką pozostanę dalej na tej stopie, co dotąd. Jest to pewien rodzaj przymierza zaczepno-odpornego, gwarantującego obu stronom jednakowe prawa, gdy tymczasem pan Brieux chce, by mężczyzna uległ zupełnie słabej niewieście.

W domu — i owszem — przyznaję niewiastom głos decydujący, nigdy się też z moją małżonką o to nie spierałem, wiem przecież z doświadczenia własnego, że jako na przykład urzędniczki w najrozmaitszych dykasteryach nie dorosły przeważnie do swego zadania. Wykonują swą pracę zbyt szablonowo i nie z tem przejęciem, z jakiem jej się oddaje mężczyzna, brak im niezbędnej gruntowności, gdy tymczasem, według dawnych zwyczajów, mogłyby być wzorami matek i żon.

Gdyby świat miał się po wojnie ukształtować według życzenia pana Brieux, za lat kilkanaście mielibyśmy zatrzęsienie starych panien, na czem ucierpiałoby całe społeczeństwo, a jeśli kiedy, to właśnie teraz potrzebuje ono kobiet, ale nie w togach doktorskich lub mundurach urzędniczych, ale jako żon, matek i gospodyń. Wybierać także zbyt nie radzę między mężczyznami, którzy garną się do jarzma małżeńskiego, choć tak chce pan Brieux, znam bowiem wiele takich jednostek, co to o nich mówi poeta: „wybierała, wybierała, aż starą panną została".

Mężczyzna ma także swą wartość i powinien o tem wiedzieć i umieć ją cenić, bardziej niż to czyni pan Brieux, który chyba... nie jest mężczyzną.

Ładna ta zresztą byłaby wdzięczność kobiet wobec tych, którzy piersi swych nadstawiali w obronie granic kraju, gdyby po ich powrocie w domowe pielesze, pokazały im figę, mówiąc: „Wynoś się! Jesteś mi już niepotrzebny. Sama sobie bez ciebie dam radę, tak, jak obchodziłam się bez ciebie w czasie wojny".

Inna znowu, zakładając pióro za ucho, powie:

— Co?... Ty chciałbyś zająć znowu to miejsce, co przed wojną? Nic z tego! Teraz ja tu urzęduję i już cię nie puszczę! Wracaj tam, skąd przyszedłeś...

A on, biedak, który lata całe strawił na wojnie, stanie teraz bezradny, nie wiedząc, co począć i czekając, aż go, przekonana o swej wartości niewiasta, systemu pana Brieux, łaskawie może wybrać raczy.

Biedny ten pan Brieux! Wyobrażam sobie, jak mu się musiały dać już we znaki przyjemności pożycia domowego z taką kobietą, która umie cenić swą wartość! Jeśli zaś przypadkowo jest jeszcze kawalerem, bo i tacy członkowie Akademii francuskiej bywają, życzę mu, by sobie znalazł jak najprędzej odpowiednią połowicę, którąby „mogła wraz z nim walczyć i razem cieszyć się radosnymi wynikami".

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ojciec Diedom gra w wista i kłębka n p. Romana Hebrody.

Łamigłówka literacka.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Wyszukać dzieła podanych autorów. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza.

Sienkiewicz?
Mickiewicz?
Göthe?
Kraszewski?
Pol?
Shakespeare?
Miłkowski?
Schiller?
Orzeszkowa?
Fredro?
Słowacki?
Krasiński?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ćmo! Otocz orła! Ow paź zwoził dech z gazu.

Trójkąt magiczny.
Ułożył St. Danecki, Przerów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego pedagoga.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Zwrot literacki. 3 Zjawisko akustyczne 4 Kraj w Grecyi. 5 Poeta angielski. 6 Alkaloid. 7 Rzeczka w Galicyi. 8 Imię słowiańskie. 9. Zaimek pytający 10. Spółgłoska

Logogryf.
Ułożył E. Winter. Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, poda ważny wypadek historyczny z dziejów Polski.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Mieszkanie 2. Poeta polski. 3 Uczestnik powstania z r. 1863 4. Polski statysta. 5. Imię męskie 6 Półwysep w Ameryce. 7 Członek rządu narodowego. 8. Kraj 9. Stopień wojskowy. 10 Litera. 11 Państwo w Europie 12 Umowa 13 Miejscowość, pamiętna bitwą Legionów z Moskalami 14 Postać z dziejów polskich. 15 Wyborca. 16 Polski urząd nadworny 17. Napad 18 Zdobyta niedawno twierdza. 19 Miasto w Poznańskiem. 20 Wielki hetman litewski. 21 Malarz polski 22. Góry w Europie. 23 Imię męskie 24 Swietiny krąg.

Zadanie do przestawienie.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Gody do Tosi! Ot i Ludwik T. kocha obie te gry.

Kwadrat magiczny.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć pięć wyrazów, równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym

a a a a a
a a a d d
d d g i i
m o o r r
w w w z z

Znaczenie wyrazów: 1) Miasto nad Adryatykiem. 2 Roślina. 3. Król żydowski. 4 Uwiadomienie 5. Miasto w Królestwie Polskiem.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

C! Pan Pigie Edek gani niańki i dereń. Psy! Szy!

Bilety wizytowe.
Ułożył Szczerbiec z Wawelu

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód, poszczególnych osób.

NAPOL. ARSKI.

T Z NAPSKI.

Z. KOZARSKY.

ZYNDRAM A Ł HLAD

A. Z P SWIECKA

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości“ na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 18.

Szarada: Terrakota.

Równanie:
Anakonda + Polesie + Ksantyppa + Darwisz = **Aleksander.**
Godfred + Karoca = **Fredro.**
Dorota + Pożytek + Piwonia + Pociecha = **Dożywocie.**

Trójkąt magiczny:
F a ł a t
a m u r
ł u g
a r
t

Zadanie do uzupełnienia: Wart pałac Paca, a Pac pałaca.

Logogryf:
S a ł a t a
T o p o l a
A r a b i a
N a r c y z
I m b i e r
S k r z y p
Ł a b ę d ź
A u g u s t
W i ś n i a
S w i e r k
L o n g i n
E l i a s z
P l a t a n
O r z e c h
W i d ł a k
R e n e t a
O g ó r e k
N a s t k a
P a w i a n
U ł a m e k
C h m i e l
H a w a n a
A p o l l o
L u c y n a
S t o n ó g
K a k a d u
I m b r y k

Szarada: Materace.

Grzebieniówka:
Ż y t o m i e r z
a o e f e
b g t e n
a a r z o

Bilety wizytowe: Dywizyoner. Sielankopisarz. Bajkopisarz Archiwista Wicekonsul.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Podębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S Grodzicki Praga. K. Kowalski Wiedeń, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, R Jędrzejowski Czerniowce, L. Kozłowski Tarnów, Z Szymanek Nowy Sącz, R. Mellerówna Baranów, E. Winter Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **R. Mellerówna, Baranów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Nowość na obchody patryotyczne. Nakładem Zakładu ks. Bosko w Oświęcimiu wyszła nowego rodzaju publikacya: Serya kartek muzycznych, składająca się z czterech podwójnych i dwuch pojedynczych pocztówek z utworami muzycznymi treści patryotycznej Ant. Chlondowskiego. Na kartkach podwójnych widnieją utwory: 1) Hymn Polski, do słów Wł. Bełzy i 2) Hymn młodzieży polskiej, na chór unisono z towarzyszeniem fortepianu; 3) Modlitwa i 4) „Wisło nasza“, na solo i chór ad lib z towarzyszeniem fortepianu Na pojedynczych: 5) „Cześć polskiej ziemi“ i 6) „Kto cię wołał“, na chór mieszany bez akompaniamentu. Teksty dobrane, z tych kilka bardzo ładnych, sympatycznej naszej poetki ludowej Jadwigi z Łobzowa. Utwory cechuje obok pewnej niewyszukanej prostoty, która je czyni przystępnymi dla śpiewaków i słuchaczy, także wzorowa forma i wykończenie artystyczne. Druk jasny i wyraźny, na pięknym i silnym kartonie. Cena, dzięki skromnej formie pocztówki, bardzo przystępna. Te zalety, jak niemniej stanowczy brak tego rodzaju utworów, nadających się do wykonania przy obchodach patryotycznych i narodowych, zyskają temu wydawnictwu dobrze zasłużoną a trwałą popularność. Dochód przeznaczony jest na utrzymanie biednych uczniów w Zakładzie ks. Bosko w Oświęcimiu. Do nabycia w Zakładzie Salezyańskim w Oświęcimiu i w głównych księgarniach krakowskich.

Nakładem Związku „Eleuteryi“ w Krakowie, opuściła prasę drukarską broszura p. t **„Przeciw alkoholowi“.** Odbitka z „Głosu Narodu“. Cena 30 hal.

Przy dzisiejszych planach budowy podstaw nowego życia duchowego i materyalnego, broszurka ta powinnaby zwrócić uwagę odnośnych czynników na demoralizacyę i zło, szerzące się przez szynk i karczmę, zwłaszcza wśród ludu przedmiejskiego i wiejskiego — i usiłowaniom organizacyi abstynenckich jak n. p. Związek „Eleuterya“ — przyjść z wydatną pomocą.

Cykl wykładów z dziedziny alkoholizmu i nikotynizmu — urządzonych staraniem Związku „Eleuteryi“ krakowskiej w styczniu b r. — a streszczonych w powyższej broszurze — powinnoby urządzić każde miasteczko i wioska, w których jest garść inteligencyi, chętnej do pracy nad ludem.

Broszurka do nabycia w lokalu Związku „Eleuteryi“ (Kraków, Karmelicka 21) lub w Księgarni K. Wojnara (Szewska 20).

Potrzebny zaraz trawiacz do Nowości Illustrowanych.

Klisze cynkowe i fotografie z każdego numeru odsprzedaje Administracya Nowości Illustrowanych

Zarząd wodociągu miejskiego poszukuje 2 powozów lekkich każdy do zaprzęgu w pojedynkę i na parę koni.
Zgłoszenia zwracać należy z podaniem ceny i jakości powozu do Zarządu wodociągowego miejskiego, Kraków, ul. Senatorska 1.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego